



Sophie Weston



Romans we Francji

PROLOG

Trzy kontynenty mogły oglądać na żywo, jak korespondent wojenny Patrick Burns niszczy swoją olśniewającą karierę.

Jako pierwsza zorientowała się zastępca redaktora programu w londyńskim studiu.

- O nie! - wyrwało jej się. - On zamierza opowiedzieć się po jednej ze stron.

W odpowiedzi usłyszała, że mówi bzdury. Patrick Burns właśnie zdobył tytuł Reportera Roku, czemu więc miałby tak ryzykować, skoro znajdował się na samym szczycie?

- Już raz był na samym szczycie i zleciał - mruknął pod nosem szef, Ed Lassels, lecz nikt tego nie usłyszał.

Wszyscy pamiętali, co powtarzał Patrick, kiedy proszono go o wystąpienie na jakiejś konferencji lub gdy w inteligentnym i świadczącym o skromności przemówieniu dziękował za przyznanie mu kolejnej nagrody.

- Nie możemy angażować się po żadnej ze stron - podkreślał. - Dziennikarz albo jest bezstronny, albo nie jest dziennikarzem.

Tak, ale to było wtedy, zanim poleżał sobie z twarzą przy ziemi, gdy strzelano do niego i przerwano ogień jedynie ze względu na jedenastoletniego chłopca, który przy nim usiadł.

Po takim doświadczeniu Patrick nie mógł pozostać bezstronny, zaangażował się całym sobą na dobre i na złe.

Tej nocy, gdy Patrick podjął ostateczną decyzję, która nie zostawiała mu odwrotu, jego kamerzysta podejrzewał, że coś się święci. Wspinali się na zbocze góry, nie potrzebując latarek, gdyż księżyc w pełni świecił bardzo jasno.

- Niech to licho, równie dobrze moglibyśmy iść w świetle reflektorów - zauważył Tim, przystając na moment, by złapać oddech. W odróżnieniu od

Patricka nie przywykł do oddychania rozrzedzonym powietrzem wysoko w górach. Nie miał też takiej sprawności fizycznej.

- No to miejmy nadzieję, że wróg akurat patrzy w inną stronę - rzucił przez ramię Patrick, nie przerywając wspinaczki.

- Powinny cię teraz zobaczyć dziewczyny z naszego działu - wycedził kamerzysta, porównując wygląd kolegi z pewnym plakatem, na którym Patrick został sportretowany w aksamitnej marynarce jako absolutnie zabójczy hazardzista z Las Vegas.

Patrick parsknął śmiechem.

- Chodzi ci o ten plakat w damskiej łazience?

- To ty o nim wiesz? - zdumiał się Tim.

- Oczywiście. Na ostatnim przyjęciu gwiazdkowym dziewczyny poprosiły, żebym się na nim podpisał.

Praktycznie wszystkie współpracownice próbowały go poderwać, ale udało się to tylko jednej, która zresztą opamiętała się po trzech tygodniach i kiedy Patrick znowu wyjechał za granicę na nie wiadomo jak długo, zwierzyła się swojej przyjaciółce, specjalistce od spraw bałkańskich - a tym samym wszystkim współpracownikom - że ten mężczyzna to trudny przypadek. Można się sparzyć.

- I to bardzo - oświadczyła Corinna, wyjątkowo nie okazując właściwej sobie bez troski. - Kiedy już w końcu idziesz z nim do łóżka, zachowuje się tak, jakby nie mógł ci tego wybaczyć.

- Dlaczego? Nie lubi wyzwolonych kobiet? Uważa, że są rozwiązłe? - dopytywała się zaciekawiona specjalistka od spraw bałkańskich.

Corinna potrząsnęła głową.

- Nie. On raczej nienawidzi siebie za to, że to zrobił.

Oczywiście te rewelacje wywołały całą falę spekulacji i dociekań na temat obsesji i prywatnych demonów, jakie mogły dręczyć enigmatycznego Patricka Burnsa. Na ścianie w redakcji informacyjnej wisiało jego zdjęcie,

zrobione podczas którejś z ceremonii rozdawania prestiżowych nagród - przedstawiało ubranego w nienaganny czarny smoking poważnego mężczyznę o mocno ściągniętych brwiach.

Lisa, recepcjonistka, wskazała na nie palcem.

- Hrabia Dracula - zawyrokowała.

Większość dziewczyn zgodziła się z nią, co nie zmieniało faktu, że nadal do niego wzdychały, zresztą ku wielkiej irytacji wszystkich kolegów.

- On jest jak bóg seksu - stwierdziła rzeczowym tonem specjalistka od spraw bałkańskich, kiedy Donald, jej bezpośredni szef, tłuściutki jak pulpet, głośno zażądał wyjaśnień, co takiego ma Burns, czego inni nie mają. - Musisz się z tym pogodzić.

- Ale przecież same mówicie, że nie jest miły dla swoich kobiet - zdumiał się. - A podobno współczesne kobiety śnią o mężczyznach czułych i wrażliwych.

- Patrick nie jest spełnieniem snów, tylko koszmarów. - Uśmiechnęła się szeroko. - Za to jakich podniecających!

Teraz nie uznałaby go za podniecającego, pomyślał z satysfakcją Tim, któremu specjalistka od spraw bałkańskich już dawno wpadła w oko. Obaj byli bardzo grubo ubrani, gdyż nocą w górach było naprawdę mroźno, więc tej nocy Patrick ani trochę nie przypominał wykwintnego hrabiego-wampira, któremu nie sposób się oprzeć. Tym bardziej, że od paru dni się nie golił.

Kiedy wyszli na odsłoniętą grań, Patrick spojrział w dolinę, na miasto, które z tej odległości wydawało się maleńkie, na drogę, którą tego ranka podróżowali wraz z grupą przerażonych, milczących uchodźców i na wioskę, w której ci zatrzymali się w nadziei na krótki odpoczynek. Tyle że drogi i wioski nie było widać, zasłaniał je dym. Parę sekund później usłyszeli huk bomb.

- Biedacy - rzekł Tim, patrząc w to samo miejsce. Patrickowi zaczął drgać mięsień na policzku.

Tim rozstawił sprzęt i nawiązał łączność satelitarną ze studiem w Londynie. Robił to trzy razy dziennie od dziesięciu dni i miał już taką wprawę, że był gotów sporo przed czasem. Stał więc, czekając, aż rozpocznie się odliczanie do wejścia na antenę i z nudów przyglądał się koledze. Uderzył go nagle wygląd Patricka, który odrzucił do tyłu podbity futrem kaptur, włożył do ucha słuchawkę, a zimny wiatr rozwiewał mu przydługie, niestrzyżone od jakiegoś czasu, ciemne jak u Cygana włosy. Niewiele się różnił od zdeterminowanych mężczyzn, których spotkali tam w dole, prowadzących zdobyte czółgi.

- Wyglądasz jak jakiś bandyta. Patrick uśmiechnął się ponuro.

- To dobrze.

W tym momencie niejasny dotąd niepokój Tima przybrał konkretne kształty, gdyż elementy układanki złożyły się wreszcie w sensowną całość. Już rozumiał, czemu Patrick nie strzygł się i nie golił, prowadził niekończące się rozmowy z ich tłumaczem, oddawał swoje porcje żywności głodnym ludziom, jakby sam nie potrzebował jeść. Jakby szykował się do...

- Zamierzasz udawać jednego z nich, prawda? Patrick skinął głową.

- Przynajmniej spróbuję.

- Człowieku, jesteś szalony - rzekł z podziwem Tim. Zaczęło się odliczanie. Na ciemnym niebie pojawiały się błyski i cały czas było słyhać huk wybuchów. Tim i Patrick słyszeli, jak w studiu prezenter wiadomości w kilku zdaniach kreślił zarys sytuacji, po czym mówi:

- Na miejscu, w górach, jest nasz korespondent Patrick Burns. Patrick, czy są może jakieś oznaki wygasania konfliktu?

Jednocześnie w słuchawkach zastępca redaktora programu mówiła:

- Trzy, dwa, jeden, Patrick, wchodzisz.

I Patrick wszedł, aczkolwiek kompletnie niezgodnie ze scenariuszem.

- To jest straszne miejsce - zaczął.

- Co? - rozległo się w ich słuchawkach. - Mów uzgodniony tekst!

Patrick zignorował żądanie.

- W nocy jest tu przeraźliwie zimno. Od dwóch lat panuje susza, więc wszędzie jest pył i kurz. Mamy go w butach, w ubraniach, w jedzeniu. Trzeba zasłaniać twarze chustami, inaczej nie sposób oddychać.

- Walki! Masz mówić o walkach, ty pomioście wielbłąda! - wrzasnął wściekły damski głos w słuchawkach.

Przez chwilę Patrick rzeczywiście mówił o walkach, wyliczając straty i zdobycze po obu stronach. Skinął głową Timowi, a ten gładko zrobił zbliżenie na jego twarz i jak zwykle pomyślał, że kamera kocha Patricka. Zawsze robił wrażenie niezwykle wiarygodnego, widzowie ufali mu, a z ostatnich badań jasno wynikało, że jest największym atutem stacji Mercury News International. Może wszystko dzięki temu, że miał zwyczaj wpatrywać się w kamerę tak intensywnym wzrokiem, jakby naprawdę zależało mu na tym, by ludzie zrozumieli, co pragnie im przekazać.

Teraz też to robił.

- Pociski, które nasz rząd sprzedał jednej z walczących stron, spadają na składy amunicji, którą nasz rząd sprzedał drugiej. Za moimi plecami mogą państwo obserwować rozbłyki wybuchów.

Wykonał gest, zaś Tim posłusznie nakierował kamerę na dolinę i zrobił długie ujęcie, ukazujące miejsce, w którym nieustannie wykwitwały nowe pióropusze ognia i dymu.

- Ostrzał artyleryjski trwa non stop. Na drogach można spotkać ludzi, którzy stracili domy i cały dobytek, którzy nie mają co jeść. Brakuje żywności i dalej będzie jej brakować.

Redaktor wydania wyrzaskiwała epitety nienadające się do druku, lecz Patrick kontynuował rzeczowym głosem:

- Z powodu suszy ziemia jest twarda jak beton i nie rodzi. Za to broni jest pod dostatkiem, broni wyprodukowanej w cywilizowanym świecie i sprzedawanej przez rządy zachodnich krajów. W tym nasz.

Tim znów zrobił zbliżenie na niego i zobaczył, że Patrick trzęsie się z zimna.

- Wszędzie jest pełno min, nikt nie wie, które miejsca są bezpieczne, a które nie, i nie dowie się, dopóki nie wyleci na którejś z nich w powietrze. To będzie rolnik, który wyjdzie w pole, żeby coś posiać. A może dziecko, które pójdzie pograć w piłkę - mówił Patrick do kamery cichym, dziwnie spokojnym głosem, który przez to wywierał jeszcze większe wrażenie. - Najgorsze jest to, że nikt nie wie, jak zakończyć tę wojnę, ponieważ zbyt wielu ludziom ona się opłaca.

Wyzwiska w słuchawkach umilkły, zamiast nich odezwał się inny, władczy głos:

- Patrick, dość tego. Podaj analizę aktualnego układu sił.

Ed Lassels rządził twardą ręką. Ludzie albo bez szemrania wykonywali polecenia, albo odchodzili.

- Przez cały ostatni dzień mój kamerzysta i ja podróżowaliśmy z grupą ośmiu uciekinierów z wioski, która przestała istnieć - ciągnął Patrick, jakby nie usłyszał żądania szefa.

- Podaj analizę - powtórzył zimno Ed Lassels.

Tim zaczął się zastanawiać, czy Patrick nie wyjął słuchawki z ucha. Naraz zrozumiał, że jego towarzysz wcale nie trzęsie się z zimna, tylko z pasji. To było kompletnie nieprofesjonalne. Ale robiło ogromne wrażenie.

- Dorośli byli w szoku, przewodził im jedenastoletni chłopiec. Dlaczego właśnie on, spytałem jedną z kobiet. Bo jest taki młody, że jeszcze nie rozumie, że nie ma żadnego ratunku, odpowiedziała.

Nawet Tim, w którego obecności odbyła się ta rozmowa, był poruszony.

- Ten chłopiec ocalił mi życie - oznajmił Patrick Burns.

- Przerwywam transmisję - oznajmił Ed. Sekundę potem rozległ się głos prezentera:

- Straciliśmy łączność z naszym korespondentem. Spróbujemy nawiązać ją ponownie i przekazać państwu pozostałą część jego relacji w dalszej części programu.

Patrick odetchnął głęboko, jakby dobiegł do mety, potem naciągnął kaptur na głowę i zaczął odpinać mikrofon, jakby nic się nie stało. Na jego twarzy malował się wyraz głębokiego spokoju.

- Gratulacje, Patrick - odezwał się w słuchawkach lodowaty głos Eda Lasselsa. - Właśnie popełniłeś zawodowe samobójstwo.

- Czasem prawda jest ważniejsza od sponsorów - rzucił Patrick, lecz odpowiedziało mu milczenie. Londyn rozłączył się definitywnie.

- No to jesteś spalony jako dziennikarz - rzekł Tim, rozdarty pomiędzy współczuciem a niekłamanym podziwem. - I co teraz zrobisz?

Na co Patrick Burns, zdobywca prestiżowych nagród, uzależniony od niebezpieczeństw jak od narkotyku, odpowiedział tak lekko, jakby to był znakomity żart:

- Zrobię coś, co nada sens mojemu życiu.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jo Almond zrozumiała, że nie jest urocza, wdzięczna i powabna, gdy miała czternaście lat.

To było bolesne odkrycie, ale gdy minął pierwszy szok, postarała się podejść do tego filozoficznie. Miała przecież inne zalety - była rzeczowa, trzeźwo myśląca, energiczna, do tego nie poddawała się łatwo, była odważna i opanowana. Ale urocza? Ani trochę.

Człowiekiem, który udzielił jej tej nieprzyjemnej lekcji, był jej nauczyciel francuskiego, dwudziestotrzyletni Francuz, student, który dopiero odbywał praktyki nauczycielskie. Przez krótki czas jej wierzył, on jeden na całym świecie. I słuchał jej. Oczywiście nie trwało to długo, lecz przez parę godzin Jo miała posmak tego, co to znaczy mieć kogoś po swojej stronie.

Znowu uciekła, tym razem dotarła do Dover, i już miała wejść na pokład promu, gdy miły policjant zatrzymał ją stanowczo i dopilnował, by odstawiono do domu. To znaczy do domu jej ciotki. W żadnym wypadku nie był to dom Jo, ona nigdy by go tak nie nazwała.

Gdy po kilku dniach nieobecności wróciła do szkoły, Jacques Sauveterre poprosił ją, by została po lekcji. Jo przeszła wystarczająco dużo, by wiedzieć, że nikomu nie można ufać, a swoje uwagi należy zachowywać dla siebie, stała więc przed nim, starannie unikając patrzenia mu w oczy.

- Joanne, czemu to zrobiłaś? Naprawdę chciałbym to zrozumieć.
- Chciałam jechać do Francji.
- Ba, nie wątpię!
- Co? - zaskoczona, podniosła wzrok i ujrzała życzliwe spojrzenie.
- Każdy normalny człowiek chce jechać do Francji, bo to najpiękniejszy kraj na ziemi. Ale czemu nie poczekałaś do ferii?

Przez moment patrzyła na niego z niedowierzaniem. Nie podniósł na nią głosu. Nie powiedział, że jest taka albo owaka. Przysiadł na brzegu

nauczycielskiego biurka i przyglądał się Jo ciepło i z zainteresowaniem, jakby naprawdę chciał ją zrozumieć. Jeszcze nikt nie patrzył na nią w podobny sposób.

- Słyszę, że łobuzujesz, że nie przykładasz się do nauki, ale ja nie podobnego nie zauważyłem, na moich lekcjach jest inaczej. Co się z tobą dzieje, Joanne? Czemu uciekłaś z domu? Czy mógłbym poznać prawdziwy powód?

Oczywiście, że nie. Miała powiedzieć: „Moja tak zwana ciotka nienawidzi mnie, a jej mąż jest alkoholikiem, który mnie bije”? Nikt by w to nie uwierzył, gdyż Carol i Brian Grey uchodzili za bardzo porządnych ludzi, zaś ona właśnie udowodniła, że sprawia same kłopoty. Mogła jednak zdradzić maleńką część prawdy.

- Moja ciotka nie pozwala mi chodzić na łacinę.

- Co takiego?

- Zapytałam, czy mogę chodzić na łacinę. Zabroniła mi.

Tak samo jak zabraniała wszystkiego, co mogłoby Jo sprawić przyjemność. Niezgoda ciotki wcale nie wynikała z tego, że podopieczna próbowała uchylać się od obowiązków domowych, wymyślając sobie jakieś inne zajęcia. Jo nie uchylała się od niczego, chociaż pracy miała dużo, gdyż codziennie musiała sprzątać, a do tego zajmować się małym Markiem, gotować mu, myć go, naprawiać podarte ubrania.

Jo nie miała nic przeciw opiece nad Markiem, którego kochała jak brata i który też przywiązał się do niej bardzo mocno. Oczywiście oboje pilnowali, by Greyowie nigdy tego nie odkryli, dlatego też warczeli na siebie opryskliwie, gdy tylko Carol lub Brian znajdowali się w pobliżu. Jo wiedziała, że ciotka wykorzystalaby to uczucie przeciwko niej, gdyż używała przeciwko niej dosłownie wszystkiego, nawet pasja motoryzacyjna mogła okazać się skuteczną bronią, gdyby tylko Carol tego chciała.

Kiedy Jacques Sauveterre przyszedł do nich do domu, by wstawić się za Jo i pozyskać zgodę na dodatkowe zajęcia z łaciny, Carol doskonale odegrała rolę mądrej, troskliwej opiekunki, która wszystko rozumie.

- Joanne ma talent do języków, pani Grey - tłumaczył z przekonaniem Jacques. - Zabranianie jej nauki języków to zbrodnia.

Carol szeroko otworzyła swoje piękne orzechowe oczy.

- Och, Jo co chwila ma podobne pomysły. Przedtem wymyśliła, że będzie chodzić na zajęcia z techniki motoryzacyjnej. - Zaśmiała się wdzięcznym perlistym śmiechem. - No, ale widać biedny Geoff Rawlings przestał być taki atrakcyjny, odkąd pan przyjechał.

Przekaz był aż nadto czytelny, w dodatku brzmiał wiarygodnie, gdyż Carol zawsze dbała o to, by przemycić w swoich słowach ziarno prawdy, wiedząc, że wtedy nikt nie dojdzie, co jest faktem, a co zmyśleniem. Jo rzeczywiście była jedyną dziewczyną wśród grupki zapaleńców, która wraz z Geoffem Rawlingsem dłubała w silnikach samochodowych. I wszyscy o tym wiedzieli.

Jacques był młody, niedoświadczony, w pokoju nauczycielskim nieustannie ostrzegano go przed egzaltacją nastolatek. W dodatku Carol Grey była śliczna, czarująca, urocza i mówiła ogromnie przekonująco, więc w końcu to w jej wersję uwierzył. Jo stała obok, słuchając tego wszystkiego i płonąć ze wstydu, ale nie mogła nic zrobić.

- Ona przechodzi trudny okres - mówiła Carol, spoglądając na podopieczną z udawanym zatroskaniem. - Biedactwo zrobiło się takie wysokie, w ramionach jest szeroka jak chłopak. Istna szafa. Mężczyzna tego nie rozumie, ale proszę mi wierzyć, panie Sauveterre, że dziewczęta bardzo przeżywają podobne rzeczy.

Jacques spłonął się, zapomniał o swoich nauczycielskich zapędach i wydukał:

- Na pewno pani wie najlepiej, pani Grey. - I uciekł, zostawiając Jo, która musiała ponieść konsekwencje jego wizyty.

Ledwie drzwi się za nim zamknęły, wyraz twarzy Carol zmienił się z przerażającą szybkością.

- A więc ten ładniutki żabojad to twój książę z bajki? Pewnie myślałaś, że cię stąd wywiezie? Zastanów się. Kto by chciał taką niezgrabną żyrafę?

Jo wbiła wzrok w podłogę i nic nie odpowiedziała, co rozwścieczyło Carol.

- Skoro masz czas na jakąś cholerną łacinę, to masz też czas, żeby mi pomóc w prowadzeniu interesu.

I od tej pory Jo już nigdy nie odrobiła lekcji, ponieważ nie miała kiedy.

- Nie potrzebujesz tyle nauki, bo jeszcze ci się zachce iść do college'u albo co - powtarzała Carol. - To dla ciebie za dobre. Rób to, co ci mówię, bo do niczego innego się nie nadajesz.

Jacques Sauveterre nie rozmawiał już więcej z Jo, nie wywoływał jej do odpowiedzi, nawet nie uśmiechnął się do niej ani razu, kiedy zaczęła przyprowadzać Marka na treningi piłki nożnej dla najmłodszych, które prowadził. Marka wyraźnie bardzo polubił, ją jednak traktował niemal jak zadżumioną, a jego przykład zdawał się działać zaraźliwie na innych.

- Ona po prostu nie jest przystosowana - stwierdził w rozmowie z Carol Geoff Rawlings. - Inne trudne dzieciaki schodzą na złą drogę, Jo jeszcze nie, ale kto wie, co się stanie, jeśli przestanie pani na nią uważać.

Tego wieczoru z szafy Jo znikły wszystkie ubrania poza dwiema parami workowatych bojówek oraz T-shirtami w kolorze khaki.

- Zobaczymy, czy teraz ten twój książę żabojad w ogóle spojrzy na ciebie - skwitowała ze śmiechem Carol.

Następnego dnia Geoff Rawlings poczuł jednak wyrzuty sumienia.

- Mam nadzieję, że ci nie zaszkodziłem, Jo. Postaram się jakoś ci to wynagrodzić.

I zaczął jej pożyczać książki o samochodach, zwłaszcza starych, których był wielkim miłośnikiem. Jo dosłownie pożerała je na przerwach, nie zaniebując też zajęć praktycznych i wkrótce stała się najlepszym mechanikiem, jaki wyszedł spod ręki Rawlingsa. Carol nie miała o tym wszystkim pojęcia,

sądziła, że zdołała bez reszty wypełnić wolny czas Jo opieką nad Markiem oraz pomaganiem jej w interesach. Dziewczyna była jej chłopcem do bicia w przenośni, a Briana - dosłownie.

W swoje szesnaste urodziny Jo uciekła z domu po raz czwarty i ostatni. Greyowie oczywiście szukali jej wszędzie, ponieważ za opiekę nad nią dostawali pieniądze, w dodatku stracili niewolnika, nad którym mogli pastwić się do woli. Tym razem jednak nie udało im się dopaść zbiega. Jo szczegółowo zaplanowała ucieczkę. Wiedziała, gdzie znajdują się jej dokumenty, gdyż Carol czasem złośliwie pokazywała świadectwo urodzenia, będące dowodem niższości Jo.

- Stoi jak byk. Ojciec nieznany. Jesteś bękartem, nikt cię nie chciał.

Jo patrzyła na dokument kamiennym wzrokiem, nie roniąc ani jednej łzy, ponieważ nauczyła się bardzo wcześnie, że płakaniem doprowadza się Carol do ślepej furii. Za którymś razem zdołała podejrzeć, gdzie leżą papiery i tej nocy, gdy uciekła z domu, zabrała świadectwo urodzenia, dowód tożsamości oraz grubą kopertę, której nigdy przedtem nie widziała, a którą jakaś nieznana ręka zaadresowała do niej.

Wewnątrz znajdowała się dziwna książeczka, oprawiona w tanią tekturową oprawę, zatytułowana „Bajka o mruczącym tygrysie”. W wydrukowanym tekście zostawiono luki, w których ktoś wykonał odręcznie urocze rysunki czarnym atramentem. Książeczka była prezentem dla dziecka.

Może jednak nie byłam aż taka niechciana, pomyślała Jo.

Nie miała jednak czasu zastanawiać się nad tym, gdyż przez następne trzy lata musiała skupić się wyłącznie na przetrwaniu. Wykonywała dorywcze prace, co kilka tygodni przenosiła się z miejsca na miejsce, żeby zatrzeć ślady, po kryjomu utrzymywała kontakt z Markiem, a byli tak dobrzy w ukrywaniu najważniejszych rzeczy przed Greyami, że ci nigdy się nie zorientowali.

- Do zobaczenia wkrótce.

Tymi słowami przybrane rodzeństwo kończyło każdą rozmowę telefoniczną i po każdej takiej rozmowie Jo myślała: Wydostanę cię kiedyś stamtąd, a potem pojedziemy do Francji, która jest najpiękniejszym krajem na ziemi i będziemy szczęśliwi.

Drugą osobą, z którą pozostawała w kontakcie, był Jacques Sauveterre. Może zauważył u któregoś z nich dwojga ślady po biciu, może po prostu aż tak lubił Marka, a może czuł się trochę winien wobec Jo - nie wiadomo, w każdym razie przed powrotem do kraju dał jej swój adres.

- Jeśli znajdziecie się kiedyś z Markiem we Francji, odwiedźcie mnie. Będziecie zawsze mile widziani. Obiecuję.

Jo potraktowała te słowa jako coś w rodzaju polisy ubezpieczeniowej. Ilekroć zatrzymywała się gdzieś na dłużej niż na miesiąc, wysyłała byłemu nauczycielowi kartkę z pozdrowieniami, która stanowiła coś w rodzaju zawołanego przypomnienia o złożonej obietnicy. I Jacques zawsze odpowiadał, przysłał nawet zaproszenie na swój ślub.

Któregoś dnia stało się jasne, że nie da się dłużej odkładać ucieczki Marka, chociaż miał dopiero piętnaście lat. Zadzwoił do Jo z pożyczonej od kolegi komórki, a jego głos brzmiał dziwnie. Brian znowu się upił i tym razem pobił go tak ciężko, jak kiedyś pobił Jo. W podobny sposób skatował ją tylko raz, gdyż drugi już mu się nie udało.

Ten drugi miał mieć miejsce w nocy przed jej szesnastymi urodzinami, gdy wujek wrócił pijany i zły, więc zabrał się do naprawdę porządnego bicia, żeby wyładować frustrację, lecz tym razem Jo wykręciła mu rękę i zdołała zamknąć go w schowku na szczotki pod schodami. Potem zabrała swoje papiery oraz pieniądze, które zarobiła jako opiekunka do dzieci - o czym Greyowie nie mieli pojęcia - i znikła. Teraz Mark również musiał zniknąć.

- Uciekaj stamtąd. Jeszcze dziś - przykazała opanowanym głosem. - Wiesz, gdzie trzymają twoje papiery?

- Tak, Brian ciągle je chowa gdzie indziej, ale podejrzalem, że ostatnio wložyl je do puszki po herbatnikach.

- Zabieraj je więc i przyjeżdżaj na dworzec autobusowy tak szybko, jak zdołasz. Będę na ciebie czekać.

- Ale... - Mark zawahał się, a w jego głosie zabrzmiało zawstydenie. - Ja nie jestem taki jak ty, Jo. Nie mam żadnych pieniędzy.

- Nie martw się, ja mam. Odkładalam od dawna właśnie na tę chwilę.

Na dworcu czekała na Marka przez kilka godzin, a gdy wreszcie go ujrzala, serce ścisnęło jej się boleśnie. Utykał, twarz miał posiniaczoną, a jedno oko tak zapuchnięte, że ledwie było je widać. Mimo to już z daleka uśmiechał się na widok Jo i machał trzymanymi w ręku papierami.

- Mam je! Uściskali się.

- Trudno było uciec?

- Nie, musialem tylko poczekać, aż ona wyjdzie na zakupy. On śpi jak zarżnięty. Ona mnie nigdy nie zamyka, bo myśli, że nie miałbym dokąd pójść. Co teraz robimy?

- Jedziemy do Francji. Do pana Sauveterre'a.

Mark spojrzal na nią jakoś dziwnie, widać Carol naopowiadała mu, jak to Jo kochała się w nauczycielu francuskiego. Owszem, faktycznie durzyła się w nim troszeczkę, ale to było całe wieki temu.

- Pan Sauveterre zapraszał nas do siebie - wyjaśniła Jo i dodała pośpiesznie, by rozwiać podejrzenia Marka: - Jest teraz żonaty.

Kupiła bilety na autobus, potem na prom, znowu na autobus, i na jeszcze jeden. Na koniec sympatyczny kierowca ciężarówki podrzucił ich do niewielkiego miasteczka Lot et Garonne. Przez całą podróż Jo starała się rozmawiać ze współpasażerami po francusku, żeby przypomnieć sobie ten język i chyba rzeczywiście musiała mieć zdolności językowe, gdyż po kilku godzinach takiego treningu mówiła już całkiem płynnie.

Przez cały czas rozglądała się też bacznie, sprawdzając, czy nie zwrócili na siebie uwagi jakichś stróżów prawa. Wiedziała, że Carol zrobi wszystko, co w jej mocy, by rozpętać prawdziwą nagonkę, gdy tylko odkryje zniknięcie Marka, które oznaczało utratę dodatkowego dochodu oraz rąk do pracy. Na szczęście nikt ich nie zatrzymał.

W miasteczku wskazano im drogę do niewielkiego gospodarstwa Sauveterre'ów. Jo i Mark szli krętą drogą, wspinającą się na łagodne wzgórze, obrzeżoną zielonym żywopłotem, rozżłoconą francuskim słońcem. Jacques uściskał ich tak, jakby co najmniej wrócili z wyprawy na Antarktydę.

- Zawsze miałem wyrzuty sumienia, że zostawiłem was na tej mokrej i zimnej wyspie - powiedział, z sympatią mierzwiąc Markowi włosy, a Jo widziała, że Jacques mówi prawdę.

Widać zapomniał już o jej szczenięcym zadurzeniu, gdyż otwarcie okazywał Jo taką samą sympatię jak Markowi. Również jego żona przyjęła nieoczekiwanych gości z niekłamaną życzliwością i zaprosiła, by zostali tak długo, jak tylko zechcą. Jo postanowiła zostawić u nich Marka, a sama wyjechać za kilka dni, po pierwsze dlatego, że od razu rzuciło jej się w oczy, że gospodarze muszą bardzo liczyć się z pieniędzmi. Jacques nie pracował już jako nauczyciel, próbował utrzymać się z uprawy zdrowej żywności.

A drugi powód...

Anne Marie okazała się jeszcze śliczniejsza niż na zdjęciach. Była jasnowłosa, opalona, nieduża, miała bardzo kobiece kształty i ogromną ilość wdzięku. I była w szóstym miesiącu ciąży. W porównaniu z nią Jo czuła się jeszcze bardziej niekobieca niż zazwyczaj i bardziej nieatrakcyjna. Ale nawet nie to przeszkadzało jej najbardziej. Jacques i jego żona, choć biedni, byli w siódmym niebie. Ilekroć spotykali się w ciągu dnia podczas wykonywania codziennych obowiązków - czy to w kuchni, na podwórku czy w ogrodzie - przytulali się, całowali, zaglądali sobie w oczy, a każdy ich gest mówił: „Zobaczcie, jak się kochamy i jacy jesteśmy szczęśliwi”. Jo oczywiście cieszyła

się ze względu na nich, ale gdy pomyślała, że ona sama nigdy nie zazna niczego podobnego...

Teraz, gdy osiągnęła cel, na który bez wytchnienia pracowała przez lata, czyli wyrwanie Marka z łap Greyów, po raz pierwszy pomyślała o sobie. Nie musiała długo stać przed dużym lustrem Anne Marie, by zrozumieć, że jej nikt nie pokocha, jak tej uroczej Francuzki. Kto by chciał taką żyrafę? Metr osiemdziesiąt jakiejś niechlujnej tyczki w workowatych bojówkach. Poobgryzane paznokcie, na głowie wronie gniazdo. W ramionach była tak szeroka jak Jacques. Kto by chciał objąć taką kobietę?

- No i dobrze - powiedziała na głos, gdy wyszła na spacer na łąki i za całe towarzystwo miała jedynie stadko kóz. - Miłość czyni człowieka słabym, a ty nie możesz sobie pozwolić na słabość, Jo Almond.

Mówiła to głośno i dobitnie, żeby zadziało.

- Jestem szczęśliwa - oznajmiła stanowczo, schodząc ze wzgórza, a za nią podążały zaciekawione kozy.

Zabrzmiało to całkiem przekonująco i prawie... prawie było prawdą.

- Taka szczęśliwa jak teraz, nie byłam nigdy.

O, to już było zdecydowanie bliższe prawdy. Po raz pierwszy oboje z Markiem byli wolni. Jo uśmiechnęła się nagle i szeroko rozłożyła ramiona.

- Hej, to jest całkiem dobry początek!

Dwa dni później chodziła po miasteczku, bezskutecznie wypytując po sklepach i lokalach, czy ktoś nie potrzebuje kelnerki, sprzątaczkę, posłańca, kogokolwiek. Naraz jej uwagę przyciągnęło jakieś zbiegowisko na niedużym, szalenie malowniczym ryneczku otoczonym arkadami. Podeszła bliżej i ujrzała rzeczywiście zabawny widok - stary rolls-royce typu kabriolet miotał się bezradnie w ciasnej przestrzeni pomiędzy średniowiecznym murem a arkadą, przypominając schwyte w pułapkę zwierzę. Za kierownicą siedział młody człowiek, z każdą chwilą coraz bardziej czerwony na twarzy i klnący coraz dosadniej. Ponieważ był to dzień targowy, do miasteczka przyjechało sporo

ludzi, więc gapiów przybywało. Niektórzy nawet zasiedli przy stolikach w kawiarence naprzeciwko, by wygodnie przyglądać się darmowemu przedstawieniu.

Jo oparła się o kolumnę i z rozbawieniem również się przyglądała. Kierowca, chyba w jej wieku, był tak opalony, jakby właśnie wrócił z Karaibów, i miał malownicze blond pasemka, jakby właśnie wyszedł od fryzjera. Drogiego fryzjera.

- Słuchajcie, wcale mi nie pomaga, że się gapiacie - zwrócił się po angielsku do coraz bardziej rozbawionego tłumku gapiów. - Może któryś z was jest taki mądry i wie, jak... Cholera jasna!

Silnik prychnął dziwnie, rolls-royce skoczył do przodu i lekko przejechał błotnikiem po skrajnej kolumnie arkady, a wtedy Jo zlitowała się nad nieszczęsnym rodakiem i podeszła bliżej.

- Ty chyba nieczęsto go prowadzisz? Łypnął na nią niechętnie.

- To wóz mojego brata, pojechałem do myjni, ale w drodze powrotnej źle skręciłem i wpakowałem się na ten przeklęty rynek.

Otworzyła drzwi.

- Daj, ja spróbuję, mam pewne doświadczenie.

Co prawda nigdy nie siedziała w rolls-roysie, ale podczas kursu u Geoffa Rawlingsa zdarzało jej się prowadzić stare, nieporęczne i wielkie gruchoty. Była przekonana, że uda jej się wyjechać z ciasnego zaułka bez demolowania samochodu i architektury.

Oczywiście miała rację. Rolls wykręcił z gracją i zatrzymał się przed kawiarenką. Rozległy się oklaski, a gapie rozeszli się, gdyż już nie było na co patrzeć. Kierowca ochłonał i wyciągnął rękę do Jo.

- Crispin Taylor-Harrod. Jak ty to zrobiłaś? - spytał ze szczerym podziwem. - Słuchaj, uratowałaś mi tyłek. Mogę cię zaprosić na kawę?

Jo przyjęła zaproszenie i usiedli razem przy stoliku.

- Ale mam szczęście, że na ciebie trafiłem! Wiedziałem, że nie ma co dzwonić po mechanika, bo stary Brassens nienawidzi prowadzić wozów, które mają kierownicę po prawej stronie. Co ty tu właściwie robisz?

- Nic szczególnego. Chwilowo mieszkam u przyjaciół i próbuję znaleźć pracę.

- Poważnie szukasz pracy? - spytał z nagłym ożywieniem. - A co chcesz robić?

- Cokolwiek. Z wyjątkiem tańczenia na rurze i wykonywania operacji chirurgicznych.

Roześmiał się, ale zaraz potem spoważniał i oczy mu się zwężyły, jakby głęboko się nad czymś zastanawiał.

- Znasz się na starych samochodach?

- Tak, ale nie klasy rolls-royce'a. Machnął ręką.

- Nie chodzi o grzebanie w bebeczach. Umiałabyś je wyprowadzać z garażu, jeździć nimi, czyścić i tak dalej?

- Pewnie. Bardzo lubię samochody, a stare w szczególności.

- Lubisz? - spytał z niedowierzaniem, jakby kobietom nigdy się to nie zdarzało.

- Tak. Są przewidywalne i można na nich polegać. Nie oszukują, a kiedy się o nie naprawdę dobrze dba, raczej nie sprawiają nieprzyjemnych niespodzianek. Jeśli już zawiodą, to tylko dlatego, że istnieje realny powód.

- A chciałabyś się zajmować takimi starociami?

- Takimi? - Spojrzała na lśniącego, arystokratycznego rollsa stojącego przed kawiarnią. - To ile ty ich masz?

- Nie ja, tylko mój brat Patrick. Całą kolekcję.

- Skoro jest kolekcjonerem, to pewnie sam chce się nimi zajmować.

- Nie jest, on je odziedziczył i zamierza sprzedać. Wezwał mnie, żebym przyjechał i rzucił na nie okiem, sprowadza też jakiegoś eksperta z Rouen, który ma wszystkie te graty doprowadzić do idealnego stanu, a ja mam temu gościowi

pomagać. Ale po pierwsze to nie mój konik, po drugie mam zaproszenie na rejs u wybrzeży Hiszpanii i diabelnie chciałbym popłynąć, więc pomyślałem sobie...

- Popatrzyl na Jo.

- Zapłacę ci.

- Nie mam żadnych kwalifikacji - zaprotestowała.

Crispin się roześmiał.

- Ja też nie! Naprawdę dasz sobie radę, to nic trudnego. No i dzięki temu uratujesz mnie od więzienia.

- Od więzienia?

Na szczęście okazało się, że dla Crispina Taylora-Harroda więzieniem jest piętnastowieczny zamek z wieżyczkami i słynnym, choć mocno już zaniedbanym ogrodem.

- Tam dookoła nic nie ma. Żadnych lokali z dobrą muzyką, żadnych dziewczyn, w ogóle nie można się pobawić. Tymczasem mój kumpel Leo zaprasza mnie na rejs jachtem ze świetnymi laskami w bikini. Plaża, wino, seks... - ciągnął w rozmarzeniu. - To jest życie, a nie zajmowanie się gruchotami, które dwadzieścia lat stały w jakiejś szopie.

- Wygląda na to, że nie jesteś idealnym kandydatem do tej pracy - zauważyła z rozbawieniem, ale też i z nadzieją Jo.

Uśmiechnął się bez śladu skruchy.

- Tak naprawdę oblałem egzaminy i miałem różne inne nieprzyjemności w college'u. Matka za karę wywaliła mnie z domu, więc Patrick ściągnął mnie tutaj, żeby nie wpakował się w dalsze kłopoty i pouczył do egzaminów.

Nadzieja Jo zgasła.

- No przecież ja się za ciebie nie pouczę...

- Eee, to już odwalone, niania Morrison dopilnowała, żeby powtórzył cały materiał. A co do kłopotów, to właśnie chętnie narobię sobie następnych, zanim będę musiał wrócić do szkoły i zachowywać się porządnie. - Naraz na

jego twarzy odbiło się rozczarowanie. - Właśnie, niania Morrison! Niech to szlag! Zupełnie zapomniałem.

- O czym?

- O tym, że mój brat nigdy nie zatrudnia kobiet, jego gospodyni jest wyjątkiem. Żadna babka poniżej pięćdziesiątki nawet nie ma co zbliżyć się do zamku.

- To niezgodne z prawem - stwierdziła z urazą Jo. - Prawo zabrania odmawiać komuś pracy z racji płci lub wieku.

Crispin tylko wzruszył ramionami.

- W swoim domu Patrick ustanawia własne prawa.

Jo się zjeżyła.

- Nikt nie jest ponad prawem.

- No to powinnaś poznać mojego brata!

- On chyba musi być wyjątkowo arogancki.

- Aha. Jest arogancki, apodyktyczny, nie ma zrozumienia dla potrzeb młodego mężczyzny, a do tego wymądrza się na każdy możliwy temat.

- Okropność - stwierdziła z całym przekonaniem.

- Tak, ale to świetny facet - rzekł nagle Crispin, zmieniając kurs o sto osiemdziesiąt stopni. - Jest uparty i zawsze musi postawić na swoim, tylko że on się upiera przy fajnych rzeczach. W zeszłym roku dostał jakąś prestiżową nagrodę i mama chciała uczcić to wielkim przyjęciem z ważnymi szlachami, a Patrick powiedział, że rzadko przyjeżdża do Stanów, więc skoro już przyjechał, to woli spędzić ten czas z bratem niż z obcymi ludźmi i przez całą noc bawił się w klubie ze mną i moimi kumplami. - Uśmiechnął się na to wspomnienie, ale zaraz potem spochmurniał. - Co prawda przez to żaden z nas nie wyrwał żadnej laski, bo wszystkie leciały na niego.

Jo pomyślała, że nie poleciałaby na Patricka Taylora-Harroda, choćby był wcieleniem samego boga miłości. Już go nie znosiła, ponieważ jego głupie uprzedzenie stało między nią a jej wymarzoną pracą.

- To niesprawiedliwe! Ja naprawdę świetnie nadaję się do tej roboty.

- Tylko że z Patrickiem nie da się dyskutować - orzekł Crispin z fatalistyczną rezygnacją. - Niania doniesie mu o tobie w przeciągu dziesięciu minut. Informuje mojego brata dosłownie o wszystkim.

- A ja się zastanawiałam, w jaki sposób dopilnowała, żebyś powtórzył materiał...

- Sama widzisz. Trudno, nic z tego, chociaż pomysł był fajny. Wiesz co? Odwieź mnie. Niania pewnie zaproponuje ci herbatę i popływanie w basenie. Radzę ci, skorzystaj.

Przyjęła zaproszenie, chociaż poczuła się cokolwiek urażona. Crispin ewidentnie usychał z braku towarzystwa dziewczyn, ale nawet nie przyszło mu do głowy, by z nią poflirtować. Chyba ją polubił, na pewno był jej wdzięczny, lecz kobiety w niej nie dostrzegł.

Niestety, miało jej się przydarzyć jeszcze coś gorszego. A może lepszego - zależy, od której strony na to spojrzeć.

Pani Morrison z wyglądu bardziej przypominała ogrodnika niż nianię. I nosiła okulary o szklach grubych jak denka butelek.

- Crispin, zaproś kolegę, żeby został na lunch. Zdębieli na moment. Crispin ochłonął pierwszy.

- Bardzo chętnie, nianiu, bo biedak jest chwilowo spłukany.

Jo otworzyła usta. Zamknęła. Otworzyła. Zamknęła.

Kolegę?

Kolegę?!

- Ty, trochę kooperacji - syknął Crispin.

- Ale...

- Chodź, pokażę ci samochody - powiedział głośno i czym prędzej odciągnął ją na bok. - Nie sprzeczasz się, to przecież znakomita okazja. Rety, ona musi być ślepa jak kret, skoro wzięła cię za chłopaka.

- Dzięki - rzekła słabym głosem Jo.

- Skoro tak myśli, to nie podkabluję cię Patrickowi.

- Ale przecież inni zauważają, że jestem dziewczyną.

- Poza nią jest tutaj tylko stary George, jej mąż. Jeździ na wózku, więc zawsze zdążysz spytać, żeby nie mógł ci się dokładnie przyjrzeć.

- No a co z twoim bratem?

- Nie ma go tutaj i przez całe wakacje na pewno się tu nie pokaże, on rzadko tu zagląda. Jak nie jest gdzieś daleko za granicą, to woli siedzieć w Londynie albo Paryżu niż w tym rozwalonym zamku na głębokiej prowincji.

- No to po co go kupił? - spytała, coraz bardziej zirytowana na tego nieznanego Patricka.

- Nie kupił, zamek też odziedziczył. Słuchaj, to co? Zastąpisz mnie tutaj przez miesiąc, zapłacę ci gotówką, wybawię się w Hiszpanii, wrócę, zamienimy się, mój brat nawet cię nie zobaczy. Kto wie, może przy odrobinie szczęścia w ogóle się nie dowie, że to nie ja doglądałem jego gruchotów. Umowa stoi?

Jo wahała się, chociaż perspektywa spędzenia miesiąca w tym średniowiecznym francuskim zamku z wieżyczkami, otoczonym zapuszczonym, malowniczym ogrodem, gdzie pachniało ziołami, była niezmiernie kusząca. Nie podobało jej się jednak, że miałyby kogoś oszukiwać, chociaż ktoś tak niemiły jak Patrick Taylor-Harrold nie zasługiwał na nic lepszego. Przestała się wahać, gdy zobaczyła bugatti - to była miłość od pierwszego wejrzenia.

- Tak, stoi. Miejmy tylko nadzieję, że przez ten miesiąc Patrick zostanie tam, gdzie jest.

- O, bez obawy. Gdy trafi na gorący temat, wczepia się w niego pazurami.

- No to muszę się postarać, żeby w razie czego we mnie nie dostrzegł gorącego tematu - zażartowała blado Jo.

Crispin śmiał się tak długo i głośno, jakby usłyszał najlepszy dowcip w życiu.

ROZDZIAŁ DRUGI

To był cudowny dzień, miejsce również. Jo przystanęła na środku kamiennego osiemnastowiecznego mostku i aż westchnęła. Gałęzie wierzb zwieszały się nad leniwie płynącą rzeczką, pszczoły bzyczały w krzewach dzikich róż. Panowała cisza, Jo była zupełnie sama.

Zamknęła oczy, wciąż nie mogąc uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Jeszcze miesiąc wcześniej leciała z nóg ze zmęczenia, harując za dnia jako sprzątaczką, a wieczorami pracując jako kelnerka w pizzerii, a przy tym nieustannie zamartwiała się o Marka. Teraz zaś Mark był bezpieczny i oboje znajdowali się w wymarzonej Francji, gdzie świeciło słońce, na zielonych wzgórzach wznosiły się zamki jakby wyjęte żywcem ze starych rycin, powietrze przesycił zapach lawendy. A na zamku znajdowała się wielka biblioteka, w której Jo spędzała wieczory, zaczytana po uszy. Nigdy w życiu nie miała dostępu do tylu książek, więc teraz rzuciła się na nie zachłannie, czując, jak otwierają się przed nią całe nowe światy.

Wystawiła twarz do słońca, odczuwając dotknięcie jego promieni jak pocałunki kochanka. Wciąż nie miała go dosyć. Po raz pierwszy w życiu mogła do woli napawać się ciepłem i światłem. I poczuciem bezpieczeństwa.

Otworzyła oczy, ale bajkowe otoczenie nie znikło. To wcale nie był sen.

- Jestem taka szczęśliwa - powiedziała na głos.

I rzeczywiście była, chociaż gnębiła ją jedna rzecz. Na początku wprawdzie stosowała się do rady Crispina i starała się trzymać z dala od Morrisonów, ale to okazało się trudne, ponieważ gospodyni przyrządzała dla niej różne smakołyki i zostawiała je na ławce przed szopą, w której Jo z miłością pucowała stare samochody i dokonywała napraw, zaś George czekał na nią wieczorami przed garażem w swoim fotelu na kółkach, żeby pokazywać jej różne miejsca na terenie posiadłości, do których miał jeszcze dostęp. Któregoś dnia zwierzył się, że uwielbia wędkować, lecz nie może zjechać nad rzekę, więc

Jo poszukała najbardziej dostępnego miejsca i zaczęła regularnie wozić inwalidę nad wodę.

Jo coraz bardziej lubiła Morrisonów, a oni ewidentnie lubili ją, zaś ich wzajemne przywiązanie pogłębiło się, gdy przyjechał antypatyczny ekspert z Rouen. Cała trójka z miejsca zawiązała przeciw niemu milczącą ligę. Zresztą ekspert bardzo szybko spakował manatki, gdyż podobnie jak Crispinowi nie odpowiadało mu życie na „przekętym odludziu”. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to kłamstwo, na którym opierał się cały pobyt Jo na zamku.

Morrisonowie zwracali się do niej jak do chłopaka. Miała im powiedzieć: „Kochani, jestem dziewczyną”? Równie dobrze mogłaby oświadczyć, że niania jest ślepa, a George to idiota. Dlatego też milczała, ale oszustwo doskwierało jej coraz bardziej.

- No dobrze. Jestem prawie zupełnie szczęśliwa - powiedziała. - Właściwie nie ma nic, czego mogłabym sobie życzyć. Lepiej cieszyć się tym stanem, póki trwa.

Była jednak jedna rzecz, której chętnie by sobie zażyczyła - uzyskać pewność, że Patrick Taylor-Harrod nie zjawi się w swoich włościach przed czasem i nie zepsuje wszystkiego. Z tego, co mówił jego młodszy brat, był zimny, arogancki, wyniosły niczym księżę i generalnie pozbawiony serca. Pani Morrison, która go kochała, jak tylko była niania potrafi, zdradziła kiedyś, że żadna kobieta nie jest przy nim bezpieczna. Zaraz dodała jednak lojalnie, że to wszystko ich własna wina, bo nie potrafią oprzeć się jego urokowi i narzucają mu się na każdym kroku.

Oczywiście Jo nie rzuciłaby się na niego niezależnie od ilości uroku, jakim dysponował, ani też on nie skorzystałby z oferty, nawet gdyby Jo jednak chciała go poderwać - i całe szczęście, gdyż to chyba musiał być jakiś uwodziciel wysokiej klasy. Jak widać, mimo wszystko istniały korzyści z bycia równie atrakcyjną jak kołek w płocie.

Wychyliła się przez balustradę mostku, popatrzyła w dół i ujrzała swoje odbicie - włosy krzywo obcięte na chłopczycę, wychudłą od niedojadania twarz, zapadnięte policzki. Broda mi wystaje jak u jakiejś czarownicy, pomyślała.

Jak zwykle patrzyła na siebie krytycznym wzrokiem Carol, a ponieważ ze względu na przekonanie o swojej brzydocie i braku wdzięku starannie unikała porządnego przeglądania się w lustrze, nie wiedziała nic o miedzianych refleksach w swoich włosach, o długich i zakręconych rzęsach, o zielonkawym odcieniu ciepłych brązowych oczu, o wyjątkowo delikatnej, gładkiej skórze. Widziała tylko stracha na wróble, tyczkowatego, o szerokich ramionach. „Istna szafa”.

Wzruszyła ramionami, przechylając się jeszcze bardziej.

Woda wyglądała tak zapraszająco... Jo nie miała przy sobie kostiumu, w ogóle go nie miała od czasu szkoły podstawowej. Ale przecież rzeczka znajdowała się na prywatnym terenie - dookoła nie było nikogo, pan Morrison zapewne zrobił sobie poobiednią sjęstę, jego żona czekała na jakiś telefon, więc była uwiązana w domu, a Crispin szalał gdzieś u wybrzeży Hiszpanii. A oprócz tej trójki któż inny mógłby tutaj przybywać?

Dzień wydawał się stworzony do pływania. Jo nie pływała już od wielu lat, w dodatku nigdy w prawdziwej rzece, zawsze tylko w osiedlowym basenie, gdzie woda śmierdziała chlorem. Tymczasem tutaj woda była krystalicznie czysta, przy brzegach leniwie bzycały pszczoły, a w powietrzu unosił się zapach polnych kwiatów.

I jak tu się oprzeć takiemu zaproszeniu?

Pod zwisającymi gałęziami leszczyny znalazła porośnięte mchem stopniej które prowadziły na sam brzeg. Jo zdjęła sandały i boso zeszła nad rzekę, gdzie najpierw położyła w suchym miejscu zakupy, które zrobiła na pobliskiej farmie dla pani Morrison, a potem rozebrała się do naga. Jej ciało było białe i chude... ale całkiem silne, pomyślała z satysfakcją. Z radości zatańczyła na mchu, a potem wzięła krótki rozbieg i dała nura do wody.

Plusk był cichy, lecz zaalarmował stojącego na przeciwnym brzegu mężczyznę, który opierał się o pień wierzby i był całkowicie zasłonięty jej długimi, zwisającymi witekami. Trzymał dłonie w kieszeniach, na jego twarzy malował się wyraz goryczy. Usłyszawszy niespodziewany odgłos, błyskawicznie poderwał głowę. To teren prywatny, nikt nie miał prawa się tutaj znajdować! W ukrytych za ciemnymi okularami oczach błysnął gniew.

Jo nie zdawała sobie sprawy z obecności innej osoby, bez reszty pochłaniała ją radość pływania i piękno chwili. Zrobiła w wodzie fikołka i roześmiała się na głos, zaś mężczyzna zapomniał o gniewie, gdyż nagle poczuł się zaintrygowany. Przyglądał się kobiecie, która dłońmi wzbijała w powietrze fontannę kropel i wystawiła pod nie twarz. Otrząsnęła się jak psiak, wyraźnie zachwycona, a później popłynęła w kierunku mostu i znikła pod nim.

Mężczyzna zszedł niżej nad brzeg, by patrzeć za nią, wiedząc, że zielona kurtyna wierzbowych gałęzi ukryje go przed jej wzrokiem. Kobieta dopłynęła do zakrętu rzeki, zawróciła, płynąc tym razem na plecach i przypatrując się obłokom. Znow przeplęła pod mostem i kiedy znalazła się na wysokości miejsca, gdzie zostawiła ubranie, zanurkowała pod wodę. Mężczyzna, zapominając o zachowaniu ostrożności, kierowany nagłym impulsem, wyszedł zza gałęzi i stanął na samym brzegu, bacznie lustrując powierzchnię wody.

Jo wynurzyła się ze śmiechem, wciąż nieświadoma obecności obcego człowieka, stanęła w płytkim miejscu, gdzie woda sięgała jej do pasa i w tym momencie zauważyła zielono-niebieską błyskawicę, która wyskoczyła z wody i śmignęła na pobliskie drzewo. Zamarła, wstrzymując oddech i wbiła wzrok w niewielkiego ptaszka, który siedział na gałęzi wraz ze złapaną rybką. Czytała o zimorodkach, widziała rysunki i zdjęcia, ale w porównaniu z rzeczywistością wyglądały blado.

- Czy coś się pani stało? - odezwał się za nią szorstki głos.

Była tak przejęta zimorodkiem, że ani nie poczuła się zaskoczona, ani nie pamiętała o tym, że nie ma nic na sobie.

Całą jej uwagę pochłaniał prześliczny ptaszek o lśniących piórkach, których szafirowo-szmaragdowe kolory aż rwały oczy.

- Cicho - zażądała, starając się jednak, by nie zabrzmiało to jak rozkaz. -

Tam jest zimorodek,

- Gdzie? - Głos nadal brzmiał szorstko, lecz zniżył się do szeptu.

Wyciągnęła rękę, by pokazać. Z jej palców, dłoni i ramienia kapwały krople wody.

- Wygląda pani jak rzeźba z fontanny.

Nie słuchała, gdyż zimorodek poderwał się z gałęzi, przeleciał nieopodal Jo niczym barwna błyskawica i znikł w zaroślach. Dopiero wtedy wypuściła wstrzymywany oddech i bezwiednie odwróciła się do głosu za swoimi plecami, by spytać:

- Och, czy to nie było cudowne? I przeżyła szok.

Mężczyzna był wysoki, szczupły, twarz miał wąską, o dumnych rysach; wiele kobiet musiało uważać go za szalenie przystojnego. Ale nie Jo. Ogarnęła całość jednym rzutem oka i nie zobaczyła nic, co mogłoby na niej wywrzeć wrażenie. Lecz w następnej chwili on zdjął okulary przeciwsłoneczne i właśnie wtedy Jo znieruchomiała, jakby rzucił na nią czar.

Co za oczy! Ukryte pod gęstymi brwiami, głęboko osadzone, w pierwszej chwili wydawały się czarne, potem piwne, aż na koniec ujawniały dziwne złociste błyski. I te niezwykle oczy patrzyły na Jo, jakby była zjawiskiem nie z tego świata.

To on odezwał się pierwszy.

- Cóż... - zaczął, zaś w jego głosie nie pozostał już nawet ślad oschłości.

Jo potrząsnęła głową, jakby próbowała otrząsnąć się z rzuconego na nią zaklęcia, a przy tym ruchu z jej włosów pociekła woda i spłynęła strużkami po ramionach i między piersiami.

- Nie wiedziałam, że ktoś tu jest.

Ale z ciebie idiotka, pomyślała natychmiast ze złością. Przecież wiedziałaś, że on tu jest, skoro się do ciebie odezwał. No i gdybyś wiedziała, nie skakałabyś nago po całej okolicy... Naraz dotarło do niej, że nie ma nic na sobie, więc gwałtownie wciągnęła powietrze i szybko ukryła się pod wodą po samą brodę, przy czym ani na moment nie zerwała kontaktu wzrokowego z nieznajomym. Nie potrafiła.

Uśmiechnął się nieznacznie.

- Ponieważ nie chciałem, żeby zauważyła pani moją obecność.

- Podglądał mnie pan? - spytała z niedowierzaniem. Podobne podejrzenie stało jednak w sprzeczności ze szlachetnymi rysami jego twarzy. Lata ciężkiego życia nauczyły Jo oceniać ludzi szybko i trafnie; naprawdę bardzo rzadko się myliła.

Skrzywił się, jakby sama idea podglądania mierzyła go głęboko.

- Wyłącznie przez przypadek.

- Jak można kogoś podglądać przez przypadek?

Uśmiechnął się ponownie, tym razem otwarcie, a wtedy jego twarz odmieniła się i nagle Jo również bez najmniejszych oporów nazwałaby go przystojnym. Może nawet więcej niż przystojnym.

- Byłem tu wcześniej. Zanim spostrzegłem pani obecność i zorientowałem się w pani zamiarach, zrzuciła pani ubranie i wskoczyła do wody. Nie zdążyłem pani ostrzec, że nie jest sama.

- Och!

- Przyznaję, że patrzyłem, jak pani dokazuje w wodzie. Prawdziwy dżentelmen zapewne oddaliłby się natychmiast, ale... wyglądała pani na taką szczęśliwą...

Zacisnął usta w wąską kreskę, a Jo od razu rozpoznała, że to oznaka skrywanego bólu, niemal niemożliwego do zniesienia. Rozpoznała, gdyż znała się na tym aż za dobrze.

- To z powodu tego miejsca - rzekła łagodnie. - Tutaj każdy musi być szczęśliwy.

Przez chwilę panowała cisza. Dalej patrzyli na siebie, potem mężczyzna potrząsnął głową, jakby teraz na niego przyszła kolej, by uwolnić się spod czaru.

- Tylko wtedy, gdy jest bardzo młody.

Pomyślała o tych latach, gdy nocowała w obskurnych pokoikach, a gdy brakowało jej pieniędzy, to na przystankach autobusowych albo w starych szopach na łodzie. O tym, że w nocy często było jej zimno i dokuczał jej głód. I że musiała mieć się na baczności, żeby jej nie okradziono - albo i gorzej. O dojmującej samotności i konieczności pozostania samotną, ponieważ nie była pewna, komu może zaufać.

- Nie jestem aż taka młoda - stwierdziła. Zaskoczyła go tymi słowami.

- Wygląda pani na szesnaście lat.

- Mam dziewiętnaście, ale doświadczenia dodają wieku.

Spojrzał na nią takim wzrokiem, jakby coś się w nim obudziło, zaś Jo na ten widok miała ochotę śmiać się i płakać jednocześnie, chociaż nie wiedziała, czemu. Nigdy wcześniej nie czuła nic podobnego.

Coś przeskoczyło między nimi dwojgiem niczym wyładowanie elektryczne, a oczy obojga rozszerzyły się, gdy każde z nich zdało sobie z tego sprawę. Nieznajomy wyglądał na równie wstrząśniętego jak Jo, pod którą z wrażenia aż ugięły się nogi i... usiadła na dnie rzeki. Woda zamknęła się nad jej głową.

Gdy się wynurzyła, parskając, plując i wycierając oczy, mężczyzna kucnął na brzegu, śmiejąc się z całego serca. Już nie wyglądał ponuro, z czego się ucieszyła, znikło też owo szczególne napięcie, które pojawiło się między nimi, ale nie wiedziała, czy to drugie sprawia jej ulgę, czy wywołuje w niej żal. Tłumaczyła sobie, że powinna być zadowolona, a jednak...

A jednak.

- Może powinna pani wyjść z wody? Ta rzeka chyba nie jest dla pani do końca bezpieczna.

- Musiałabym pobiegać dookoła, żeby się osuszyć. Nie mam ręcznika.

To rozbawiło go jeszcze bardziej.

- Ach, czyli to była kąpiel pod wpływem impulsu?

- Zobaczyłam rzekę i nie mogłam się oprzeć pokusie - przyznała z zawstydzaniem.

- To niebezpieczne - stwierdził ze śmiechem.

Jo wcale nie przeszkadzało, że się nabijał, przeciwnie, podobało jej się, kiedy się śmiał, gdyż wyglądał wtedy jeszcze przystojniej. Postanowiła podroczyć się z nim.

- Poddawanie się impulsom jest niebezpieczne?

- Zazwyczaj tak.

Wyprostował się, zdjął ciemną marynarkę, a potem ściągnął przez głowę granatową koszulę, nie bawiąc się w rozpinanie guzików, i wyciągnął ją w stronę Jo.

- Proszę, niech pani się tym wytrze.

Jego tors był jaśniejszy od opalonej twarzy, pokrywały go ciemne włosy. Jo poczuła, jak na widok tego półnagiego ciała zasycha jej w ustach. Starła się nie patrzeć na niego i odzyskać panowanie nad sobą.

- Bardzo to miłe z pana strony, ale naprawdę nie ma takiej potrzeby.

- Może z pani punktu widzenia, lecz ja nie jestem pewien, czy dam radę znieść pani bieganie dookoła w celu osuszenia się.

Zatkało ją. Zrozumiała nagle, że to coś elektryzującego między nimi wcale nie znikło, a zostało jedynie przykryte warstwą dobrych manier.

Mężczyzna postanowił zachowywać się, jakby byli parą nieznanym, którzy spotkali się w nietypowych okolicznościach, to wszystko. I prawie ją przekonał. Prawie...

Spuściła wzrok, jednocześnie zawstydzona i dziwnie podekscytowana.

- Niechże pani weźmie. W tym upale naprawdę nie zmarznę bez koszuli.

Zbliżyła się, nie podnosząc wzroku i zasłaniając piersi ramieniem, wzięła koszulę od mężczyzny. Ich palce nie zetknęły się, lecz nie była pewna, które z nich o to zadbało i dlaczego. Z powodu dobrych manier? A może z zupełnie innego?

Starając się nie zamoczyć koszuli, wróciła na swój brzeg rzeki, znikła pomiędzy drzewami i wytarła się do sucha. Koszula była lniana, miękka, miła w dotyku, a mimo to Jo miała wrażenie, że skóra aż ją mrowi. Co więcej, czuła to dziwne mrowienie wszędzie - w mięśniach, nerwach, nawet w kościach.

To idiotyczne, powiedziała sobie. Taka reakcja z powodu mężczyzny, którego nigdy przedtem nie widziała i nigdy więcej nie zobaczy?

Czekał na nią na moście, patrząc na rzekę.

- Pięknie tu, prawda? - zagadnęła nieśmiało Jo.

Czuła się dziwnie zawstydzona, chociaż przecież na początku w ogóle się nie przejęła, gdy zaskoczył ją kompletnie naga. Kosztowało ją sporo wysiłku, by spojrzeć mu w oczy i uśmiechnąć się niezobowiązująco, ale mężczyzna spojrzał na nią tak, jakby jej uśmiech oznaczał coś zupełnie innego, niż zamierzała.

Toczy się między nami jakaś gra, uświadomiła sobie nagle Jo. Tyle tylko że on potrafi w nią grać, a ja niestety nie.

- Owszem, pięknie - przyznał, jakby nigdy nic. - Ale to teren prywatny. Jak się tu pani dostała?

- Przyszłam od strony farmy tamtą nieużywaną starą drogą - wskazała. - Dlatego myślałam, że jestem sama.

Westchnął.

- Ja też myślałem, że jestem sam. Jak widać, oboje byliśmy w błędzie.

Zapewne chciał pobyć sam ze swoimi myślami, najwyraźniej niewesołymi, a Jo niechcący mu przeszkodziła.

- Przykro mi. Przyszedł pan tu posiedzieć czy może połowić ryby?

- Przyszedłem pomyśleć, bo nie wiem, co zro... - Zaciśnął zęby. -
Zazwyczaj jestem dobry w rozwiązywaniu problemów, ale tym razem za dużo osób wchodzi mi w paradę.
Skinęła głową.
- Doskonale to rozumiem.
- Wątpię - uciał krótko.
- Zdziwiłby się pan...
Odwrócił się do niej gwałtownie.
- Co pani powiedziała?
- Zawsze miałam problem z ludźmi, którzy stawali mi na drodze -
wyznała szczerze. - Trzeba albo nauczyć się lawirować między nimi, albo stanąć
twarzą w twarz z wrogiem.
- Pani jest bardzo mądra jak na swój wiek - zauważył ze zdziwieniem.
Wzruszyła ramionami.
- Jak już mówiłam, doświadczenie dodaje lat.
- Rozumiem... - rzekł, wpatrując się w jej twarz tymi dziwnymi,
brązowozłotymi oczami, które zdawały się rzucać czar.
Jo odruchowo cofnęła się o dwa kroki i czar przysł.
- Kim pani jest? - spytał mężczyzna zupełnie już innym tonem,
ostrzejszym. - Studentką?
- W pewnym sensie...
- A gdzie się pani nauczyła, że ludziom trzeba stawiać czoło?
- W drodze. Uniósł brwi.
- W drodze? Myślałem, że studenci siedzą na uczelni. Co student może
studiować w drodze?
Jo miała ochotę dać samej sobie w ucho za głupotę. Co ona wygadywała?
Czemu wyrywały jej się takie szczegóły o sobie? Widać w obecności tego
mężczyzny nie potrafiła jasno myśleć, co wskazywało, że był dla niej
niebezpieczny. Musiała się skoncentrować.

- Jak to co? Życie - rzuciła nonszalancko.

Ściągnął brwi, przypatrując jej się podejrzliwie.

- Mówi się co prawda o szkole życia, ale jakoś nigdy jeszcze nie słyszałem, żeby ktoś się do niej zapisał. To jak to z panią jest? Wylali panią z college'u?

Zaśmiała się, lecz ten śmiech szybko zamarł, gdyż przerwanie edukacji było jedną z najboleśniejszych rzeczy w jej życiu.

- Do college'u nawet nie dotarłam. Mars na jego czole jeszcze się pogłębił.

- A to czemu?

- Och, były różne powody.

- Włóczęga wydawała się lepszym sposobem na życie?

Pomyślała o tych wszystkich momentach, gdy była głodna, o tych nocach, gdy musiała spać byle gdzie jak prawdziwa bezdomna - którą zresztą była - o tych kilku sytuacjach, gdy zrobiło się groźnie. Ale przy tym wszystkim nikt nie próbował jej pobić do nieprzytomności tylko dlatego, że był pijany albo miał zły humor.

- Tak, wydawała się lepsza - rzekła cicho.

- Samotna włóczęga?

Kiedy się zawahała, odgadł bez trudu:

- Już nie samotna? Wzruszyła ramionami.

- Chłopak panią rzucił? - naciskał dalej mężczyzna.

Odparła, ostrożnie dobierając słowa:

- Mark zatrzymał się u przyjaciół.

- A pani postanowiła wędrować dalej?

- Nie miałam wyboru, tam było miejsce tylko dla jednej osoby, a on miał pierwszeństwo.

Skrzywił się.

- Czyli on się urządził, a co z panią? Ma pani gdzie mieszkać?

- Tak. Ale nie mieszkam w tej okolicy - dodała szybko. - Przyjechałam z miasta.

Skoro był taki ciekawski, mógł zacząć wypytywać o nią w pobliskim Lacombe, a im mniej o niej gadano, tym lepiej. Jeszcze ktoś mógłby wspomnieć Morrisonom, że pytano o dziewczynę, która pracuje na zamku, a wtedy wszystko by się wydało. Niania poinformowałaby pracodawcę, a ten okropny Patrick Taylor-Harrod z miejsca wylałby Jo z roboty.

- To co pani tu robi? Przyjechała pani na wieś na jednodniową wycieczkę?

- Tak.

Wydał się zaskoczony jej ostrym tonem, który wydawał się ucinać dalszą dyskusję, ale Jo miała już dość tych wszystkich łgarstw. Po pierwsze była osobą prawdomówną, po drugie nie chciała kłać kłamstwami owego cudownego miejsca, po trzecie - czego nie rozumiała już zupełnie - z jakiegoś powodu nie chciała okłamywać tego mężczyzny. Niestety, swoją ciekawością zmuszał ją do tego.

- Może podwieźć panią dokądś? Zostawiłem samochód na drodze, niedaleko stąd.

- Nie! To znaczy, dziękuję bardzo, ale nie trzeba. Przyjrzał jej się, na poły rozbawiony, na poły urażony.

- Nie musi się mnie pani bać. Gdybym był typem spod ciemnej gwiazdy, już dawno bym się na panią rzucił.

- Przepraszam. Chciałam tylko powiedzieć, że nie trzeba mnie nigdzie podwozić, nie spieszy mi się.

- Na pewno pani sobie poradzi? Dumnie uniosła głowę.

- Zawsze sobie radzę. Uśmiechnął się nieco krzywo.

- Na to wygląda... Ale nie będzie już pani więcej pływać nago? To znaczy nie wtedy, gdy jest pani sama.

- Chce pan powiedzieć, że mam więcej nie poddawać się impulsom - skorygowała.

- To byłaby wielka szkoda...

Spojrzała na niego podejrzliwie, on zaś dodał szybko:

- W pani wieku. Młodość ma prawo być impulsywna. A teraz proszę mi powiedzieć, gdzie panią znajdzie?

W jej głowie włączył się alarm.

- Po co?

- Ponieważ ma pani moją ulubioną koszulę. Chciałbym ją kiedyś odzyskać.

Dopiero w tym momencie przypomniała sobie, że wciąż trzyma jego wilgotną i pomiętą koszulę. Czym prędzej wcisnęła mu ją w rękę.

- Proszę.

Tym razem ich palce zetknęły się, a wtedy mężczyzna chwycił dłoń Jo i mocno zacisnął na niej palce. Jo zamarła, na poły oczekując, że on położy jej dłoń na swoim nagim torsie. Nie uczynił tego.

- Gdzie mam cię szukać? - spytał natarczywie, przestając udawać obojętność.

Jo poczuła się straszliwie nieszczęśliwa, ponieważ chciała mu powiedzieć, gdzie mógłby ją znaleźć, ale nie zamierzała ryzykować utraty wymarzonej pracy, która dawała jej zarobek, dach nad głową i pozwalała mieszkać niedaleko Marka. Naprawdę za dużo do stracenia.

Do oczu napłynęły jej łzy - jej, która nigdy nie płakała! Potrząsnęła głową, odtrącając go bez słów, a była to jedna z najtrudniejszych decyzji, jakie kiedykolwiek przyszło jej podjąć.

Puścił ją i cofnął się.

- Mówiłem, że jesteś mądra - rzucił niby lekkim tonem, uśmiechając się, lecz w jego oczach był zawód.

Na ten widok serce Jo ścisnęło się, ale przecież nie mogła postąpić inaczej. Ten człowiek zadawał za dużo pytań, a ona nie pozwoli, by ktokolwiek dowiedział się, kim jest. Greyowie na pewno uporczywie poszukiwali Marka, który jako nieletni musiałby do nich wrócić, więc gdyby dowiedzieli się o tym, gdzie przebywa Jo... Nie, oprócz Sauveterre'ów nie mogła ufać absolutnie nikomu.

Tylko co robić? On zaraz zacznie zadawać dalsze pytania.

Uciekaj, odezwał się głos w jej głowie. Nie chciała uciekać, ponieważ nigdy nie należała do tchórzy, ale tak naprawdę było najrozsądniej. I najbezpieczniej dla Marka. Zacisnęła zęby, obróciła się na pięcie i nim mężczyzna zdołał ją powstrzymać, zbiegła nad brzeg rzeki i wpadła między drzewa.

Zawołał za nią, więc zatkała uszy. Musiała je zatkać, ponieważ inaczej wróciłaby do niego.

ROZDZIAŁ TRZECI

Patrick wołał, lecz dziewczyna się nie zatrzymała. Ruszył szybko za nią, ale omal nie upadł, gdy kontuzjowana noga ugięła się pod nim, sprawiając mu ból. Czym prędzej oparł się o kamienną balustradę, klnąc, na czym świat stoi. Dziewczyna uciekała, jakby gonił ją sam diabeł, zaś Patrick nie mógł uczynić nic, by ją powstrzymać. Ze złością uderzył pięścią w udo chorej nogi, która aż drżała z wysiłku. Za długo na niej stał, a ostrzegano go, że nie wolno mu tego robić.

Patrzył, jak dziewczyna dobiega do kamiennego muru i wspina się na niego z niezwykłą zręcznością, chociaż musiała poranić sobie dłonie o porastające go pędy dzikich róż. Bezradnym gestem wyciągnął rękę, lecz uciekinierka była odwrócona plecami do niego i nic nie zauważyła. Ty idioto, nawet gdyby zauważyła, nie zareagowałaby, przecież okazała jasno, że nie chce mieć z tobą nic wspólnego, pomyślał.

Zeskoczyła na drugą stronę muru, znikając mu z oczu i z życia. Ręka Patricka opadła. Niech to szlag. Jeszcze pół roku temu pognałby za nią, dogonił, złapał, powiedział, że weszła bez zezwolenia na teren jego posiadłości, zmusił, by powiedziała, jak się nazywa. Nie znał nawet jej imienia, co sprawiło mu dziwny, dojmujący ból.

Utykając, przeszedł przez most i stanął w miejscu, z którego miał widok na starą drogę. Dziewczyna dalej biegła, kierując się w stronę zagajnika niczym spłoszona łania. W ogóle kojarzyła mu się z dzikim zwierzątkiem, w wodzie baraszkowała niczym młoda wydra... Przypomniawszy sobie, jak bardzo się spieszyła, gdy uświadomiła sobie, że jest naga, i uśmiechnął się na to wspomnienie.

Nic dziwnego, że nie zdołał jej oswoić i że uciekła, skoro była czujnym, płochliwym stworzeniem. No i w sumie dobrze się stało, powiedział sobie stanowczo. Z tymi swoimi zielonkawymi oczami stanowiłaby tylko dodatkową

komplikację w jego życiu. Ale gdyby przynajmniej choć raz się obejrzała...
Choć jeden jedyny raz, by Patrick wiedział, że ona też poczuła to coś elektryzującego między nimi. Że nie wyobraził sobie tego.

Jo zbiegła z drogi i wpadła między drzewa zagajnika, dalej pędząc przed siebie na oślep. Gałązki siekły ją po twarzy i ramionach, nogi podrapała o jakieś cierniste zarośla, lecz nie zatrzymywała się. Oddychała głośno i z wysiłkiem, brzmiało to prawie jak szloch. Wreszcie opadła z sił i musiała przystanąć.

Nie usłyszała odgłosu pościgu, czyli mężczyzna nie pobiegł za nią. Dziwne, nie wyglądał na takiego, który pozwala umknąć czemuś, na czym mu zależy, a Jo nie miała wątpliwości, że naprawdę jej pragnął. Może tylko przez chwilę, ale zawsze. Chyba po prostu nie pragnął jej wystarczająco mocno...

Wyczerpana szalonym biegiem, oparła się o najbliższą brzozę, tłumacząc sobie, że czuje ulgę. Nie potrzebowała żadnych dodatkowych komplikacji. Przypomniała sobie emanującą z niego siłę i pewność siebie, ciepło jego dłoni, widok nagiego torsu. W porządku, wytrącił ją z równowagi, ona jego zresztą też, ale to był jedynie moment, więcej się nie zobaczą. On pojedzie dalej, pewnie był tu tylko przejazdem, uda się do Tuluzji lub do Paryża i zapomni o przypadkowym spotkaniu. Nic się w końcu nie stało. No i dobrze. Jej pobyt na zamku, dobra praca, mieszkanie na strychu nad garażem i bezpieczeństwo Marka nie były zagrożone. Musiała za to zapłacić nieoczekiwanym poczuciem żalu, ale ono wkrótce przeminie.

Oddechnęła, wyprostowała się i ze zdumieniem popatrzyła na swoje ręce, które drżały, choć nigdy dotąd jej się to nie zdarzyło. Widniało też na nich trochę krwi, gdyż podrapała się, przechodząc przez mur. Co gorsza, były puste.

- Jajka! - jęknęła ze zgrozą Jo, z miejsca zapominając o nieznanym. - I masło! Zakupy dla pani Morrison! O mój Boże!

Czym prędzej zawróciła w stronę mostu, a gdy znalazła się w pobliżu rzeki, zwolniła i zaczęła się uważnie rozglądać, lecz nie dostrzegła ani śladu mężczyzny, ani samochodu, o którym mówił. Znowu powiedziała sobie, że

czuje ulgę z tego powodu, ale tym razem zdołała uczciwie przyznać sama przed sobą, że kłamie. Tak naprawdę była straszliwie rozczarowana.

Odsuwając od siebie myśl o nieznanym, odszukała miejsce, w którym zostawiła torbę z zakupami. Owinięta w pergamin kostka masła zrobiła się zupełnie miękka, w dodatku odcisnął się na niej ślad korzeni, na których Jo położyła torbę. No pięknie! Pani Morrison pewnie się zirytuje - i będzie miała prawo.

Jo pospieszyła w stronę zamku, tym razem nie przystając na otwartej polanie, by zachwycać się istic bajkowym widokiem wznoszących się wysoko wieżyczek. Zawsze miała wrażenie, że zaraz ktoś rozwinie na nich chorągwie, z bramy wyjadą rycerze na koniach, a nad nimi będą powiewać barwne proporce. Nic z tego. Jak zwykle było pusto i cicho, nie działo się nic romantycznego.

Po drodze zauważyła, że na dziedzińcu stoi samochód. Widać znowu zjawili się jacyś turyści, prosząc o oprowadzenie ich po zamku, o którym wyczytali w przewodniku. Oczywiście o zwiedzaniu nie było mowy, ale jeśli nieproszeni goście prezentowali pewien poziom, nie zachowywali się hałaśliwie i nie byli ubrani nazbyt skąpo, pani Morrison częstowała ich herbatą, a niektórym pozwalała urządzić sobie piknik w parku.

Hm, ci zdecydowanie zostali zaproszeni na kieliszek wina w cieniu drzew, pomyślała Jo, patrząc na czarny kabriolet ze skórzaną kremową tapicerką. Wślizgnęła się do kuchni, postarała się przywrócić kostce masła prostokątny kształt, potem schowała ją do lodówki i zaczęła wyjmować jajka z torebki. W tym momencie do kuchni wpadła pani Morrison.

- Chłopcze, nie masz pojęcia, co się stało!

Jo przede wszystkim nie miała pojęcia, jakim cudem ta prawie niewidoma kobieta rozpoznaje osoby. Widać musiała rozróżniać sylwetki i sposób poruszania się.

- Widzę, że przyjechali turyści. Pewnie koniecznie chcą zwiedzić zamek.

- Nie! Nigdy nie zgadniesz - obwieściła pani Morrison, po czym zamilkła, gdyż bardzo lubiła dramatyczne efekty.

- No to co się stało? Marsjanie wylądowali? - podsunęła Jo, by sprawić jej przyjemność.

- Pan wrócił!

- Crispin jest z powrotem? - zdumiała się.

Dałaby głowę, że chłopak zostanie w Hiszpanii tak długo, jak się da, balując z kumplami i pięknościami w bikini do upadłego. Z jego punktu widzenia ten pusty zamek na prowincji był skrzyżowaniem więzienia z klasztorem.

Pani Morrison aż się zachnęła.

- Nie Crispin! Pan Burns.

- Kto?

- Pan Burns. - Niania uśmiechnęła się z dumą. - Mój Patryś.

Patryś? O mój Boże, czyli Patrick, ów straszny starszy brat! Wrócił i zaraz wyleje ją z roboty, bo nie zatrudnia u siebie kobiet, a nie jest ślepy. Jo miała wrażenie, jakby ziemia usuwała jej się spod nóg.

- Myślałam, że on nazywa się Taylor-Harrold - powiedziała trochę ni w pięć, ni w dziewięć. - Tak samo jak jego brat.

- Pani wyszła za pana Taylora-Harrolda, kiedy Patrick miał osiem lat, potem za kuzyna Orsini, a potem...

Ale Jo nie słuchała. Właściciel wrócił i zapewne się wścieknie, kiedy się dowie, że w jego posiadłości pracuje kobieta, w dodatku podająca się za mężczyznę. Jednym słowem oszustka. Wywali ją w pięć sekund. A może... uda jej się uniknąć spotkania z nim? Może wpadł na krótko i w ogóle się nie zobaczą? Nikła to była nadzieja, lecz Jo uchwyciła się jej rozpaczliwie. Jednocześnie pomyślała, że niepotrzebnie odtrąciła ciemnowłosego nieznajomego. Mogła mu powiedzieć, jak ma na imię, gdzie jej szukać...

Zrezygnowała z niego na darmo, gdyż jej szanse na pozostanie na zamku w obecnej sytuacji i tak równały się niemal zeru.

Straciłaś go, straciłaś, naigrywał się gorzki głos w jej głowie. A wcale nie musiałaś...

- Bardzo się zirytował, gdy się dowiedział, że nie ma ani Crispina, ani tego człowieka z Rouen, ale uspokoiłam go, że Crispin znalazł fachowca, czyli ciebie. Patrick chce się z tobą natychmiast widzieć.

- Teraz? - spytała w nagłym popłochu.

- Tak. Jest u siebie w gabinecie. Zaniosę mu brandy, pójdiesz ze mną i otworzysz mi drzwi.

Jo nie znalazła żadnego wykrętu, więc z fatalistycznym nastawieniem podążyła za nianią Morrison, która niosła butelkę i kieliszek na srebrnej tacy wyłożonej wykrochmaloną śnieżnobiłą serwetką. Jo otworzyła przed nią drzwi gabinetu, potem czym prędzej wbiła ręce w kieszenie, stanęła w lekkim rozkroku i zerknęła spode łba, z całych sił starając się udawać nastoletniego chłopaka.

Właściciel zamku, wysoki i ciemnowłosy, stał plecami do nich, wyglądając przez okno. Miał na sobie ciemne spodnie... i pomiętą granatową koszulę.

Pani Morrison postawiła tacę na małym stoliku, zaś Jo stała jak zamieniona w słup soli. To niemożliwe. To niemożliwe, powtarzało coś w jej głowie.

- Patrick, to jest Jo, kolega Crispina, zajmuje się samochodami.

Mężczyzna odwrócił się, jego wzrok padł na Jo. To on! - zakrzyknęła w duchu, jednocześnie uradowana i przerażona, gdyż brązowozłociste oczy błysnęły, a potem zwięzły się, zwiastując zagrożenie. Patrzył na nią tak, jakby jej nienawidził.

- Czy to jakiś żart? - spytał niebezpiecznie cichym głosem.

- Słucham? - spytała niania, lecz nie zwrócił na nią uwagi.

- Co ty tu robisz? - zwrócił się do Jo, która nie zdołała wydusić z siebie ani słowa, gdyż zaschło jej w gardle.

Panią Morrison zaniepokoił jego ton.

- Mówiłam ci przecież. Sam powiedziałaś, że on zna się na swojej robocie, kiedy zajrzałeś do garażu.

Jego wargi wykrzywił ironiczny grymas.

- A więc to robota Crispina... Mogłem się domyślić.

Na Jo aż cierpła skóra, gdy słuchała tego złowieszczonego głosu, pełnego ledwie tłumionej furii.

- Jo jest bardzo pomocny - przekonywała niania, nie rozumiejąc, czemu Patrick gniewa się na jej ulubieńca. - Wozi George'a nad rzekę, biega po moje sprawunki, nikomu nie przeszkadza, mało mówi, siedzi w garażu albo u siebie na stryszku, jest spokojny i grzeczny.

- Siedzi na stryszku i mało mówi? Sprytne - syknął. - Bardzo sprytne. - Nalał sobie brandy.

Pani Morrison była coraz bardziej zdenerwowana. Jej ukochany Patryś gniewał się o coś, a ona nie wiedziała, w czym rzecz. Jo posłała mu wymowne spojrzenie i wskazała wzrokiem gospodynię, która nie była niczemu wina, więc nie powinien okazywać swojej frustracji w jej obecności. Zrozumiał i odezwał się znacznie łagodniejszym tonem:

- Nianiu, nie jestem zły na ciebie, tylko na Crispina, bo tym razem przesadził. Nie on jeden zresztą. - Wściekle łypnął na Jo, a potem pogładził panią Morrison po ramieniu.

- To nie ma nic wspólnego z tobą. Nie martw się. Wracaj do swoich zajęć, ja muszę porozmawiać z Jo.

Gdy zostali sami, obejrzał sobie Jo od stóp do głów, a ona poczuła się tak, jakby ktoś przejechał po niej papierem ściernym. Daremnie próbowała przypomnieć sobie ciepło jego uśmiechu, życzliwość, jaką okazał, pożyczając jej swoją koszulę, erotyczne napięcie, jakie między nimi przeskoczyło. Ów

uśmiech chyba musiała sobie wyobrazić, ponieważ ten człowiek o nieprzejdanych, surowych rysach, które wyglądały jak wykute z kamienia, chyba w ogóle nie potrafił się uśmiechać ani okazywać uczuć.

- Jo... - powiedział cicho. - Od jakiego imienia to skrót? Joanna?

Josephine? Joelle?

- Joanne.

- A nazwisko?

Milczała.

- Mam dość tych gier i zagadek - ostrzegł. - Wcale mnie nie bawią. Jeśli nie odpowiesz, wezwę policję. Znalazłaś się w moim domu bez mojej wiedzy i zgody, w dodatku uciekając się do oszustwa.

Spojrzała na niego w popłochu. Jeśli Greyowie zgłosili zaginięcie Marka, to policja z pewnością zainteresuje się obecnością Jo we Francji, Kto wie, czy nie zaczną przeszukiwać okolicy? Zagryzła wargi, rozważając ryzyko, zaś Patrick opacznie zrozumiał jej przestroch.

- Aha, czyli szuka cię policja?

Odebrała to jak policzek, zresztą ewidentnie powiedział to w celu obrażenia jej. Z każdym słowem niszczył to coś, co czuła od momentu, gdy jej dotknął. Zacisnęła zęby i milczała dalej.

- Nazwisko!

- Nie musisz krzyczeć. Jo Almond.

- Od jak dawna znasz Crispina? - spytał surowo, wyraźnie rozpoczynając regularne przesłuchanie.

- Spotkałam go przypadkiem w miasteczku. Wjechał rollsem w ciasny zaułek, wyratowałam go z opresji. - Wzruszyła ramionami. - Zaczęliśmy rozmawiać, a kiedy dowiedział się, że znam się na samochodach, zaproponował, żebym go tutaj zastąpiła. Akurat szukałam pracy, więc się zgodziłam.

- Jest to tak nieprawdopodobna bajeczka, że prawie uwierzyłem - skwitował zimno.

Jo wyprostowała się w poczuciu nagłej dumy.

- Sam przyznałeś, że znam się na samochodach. Zaklął dosadnie, a Jo się wzdrygnęła.

- Nie mówimy teraz o samochodach, tylko o tym, że mnie okłamałaś! -

Wypił brandy i odstawił kieliszek na stolik.

- Nie miałam takiego zamiaru. Nie wiedziałam przecież, kim jesteś.

- Pewnie powinienem się z tego cieszyć... - stwierdził z jadowitą ironią. - Ciekawe, co byś zrobiła, gdybyś wiedziała.

- Jak to co? - zdumiała się. - Powiedziałabym prawdę. Co innego mogłabym zrobić?

Chciała dodać, że nienawidzi kłamać. I że niepotrzebnie uciekła znad rzeki. Ale zachowała to dla siebie, gdyż Patrick i tak nie uwierzyłby w ani jedno słowo, ponury i podejrzliwy wyraz jego twarzy mówił o tym aż nadto wyraźnie.

- To powiedz mi ją teraz. Tylko całą - przykazał ostrzegawczym tonem.

Nie poprosił, by usiadła, więc usiadła nieproszona. Niestety, bogato rzeźbione krzesło było równie zabytkowe i kosztowne, jak niewygodne. Jo pomyślała nagle o tym, ilu bezdomnym można by kupić obiad za cenę jednego takiego krzesła i nagle się wściekła.

- Gdybym ja miała tyle pieniędzy, na pewno nie kupiłabym sobie mebli, które tatuują człowieka w swoje wzorki, gdy się na nich usiadzie.

Przez chwilę patrzył na nią kompletnie zaskoczony, potem kąciki jego ust drgnęły.

- Przykro mi, że nie podobają ci się moje meble. Może gdzie indziej byłoby ci wygodniej? - podsunął.

Odczytała to jako sugestię, że ma się zabierać z zamku.

- Mam wyjechać już dzisiaj?

- Nigdzie stąd nie pójdziesz, dopóki mi wszystkiego nie powiesz - rzekł złowieszczo. - Dopiero potem zastanowię się, co z tobą zrobić.

Czyli nadal rozważał przekazanie jej w ręce policji!

- Dobrze. Co chcesz wiedzieć?

Nagle zawahał się, jakby przez moment miał ochotę spytać o coś zupełnie innego, ale jednak wrócił do przesłuchania:

- Zaczynij od tego, jak poznałaś Crispina.

- Przecież już mówiłam. Utknął w zaułku w Lacombe.

- A ty zrobiłaś czary-mary i rolls wyfrunął z pułapki? Ciekawe... Które z was przekupiło eksperta, żeby stąd wyjechał? Ty?

Oczy Jo zrobiły się okrągłe.

- Przekupiło? Czemu miałabym to robić?

- Żeby usunąć go z drogi. Chciałaś być tutaj sama. Pozostaje pytanie, w jakim celu?

Wściekła się. Poderwała się z niewygodnego krzesła, podeszła do Patricka i stanęła przed nim, zaciskając dłonie w pięści. Nagle uświadomiła sobie, że jest od niej sporo wyższy, że czuje się przy nim dziwnie mała, drobna i onieśmielona, a to rozjuszyło ją jeszcze bardziej.

- Jesteś paranoikiem, wiesz o tym? Nie słyszałam o tobie ani o twoim zamku, dopóki nie spotkałam twojego brata.

Dał mi pracę, kiedy jej szukałam, a szukanie pracy to chyba nie przestępstwo. Chodziłam po całym Lacombe, pytając, czy nie chcą kelnerki, sprzątaczkę, pomocy domowej, kogokolwiek. I żałuję, że nie zostałam pomywaczką w jakiejś garkuchni, bo wszystko byłoby lepsze od... od tego! Lekko uniósł brwi, demonstrując niedowierzenie.

- A czemu aż tak bardzo potrzebowałaś pracy?

- Wiesz, niektórzy muszą pracować, żeby mieć co jeść - odpaliła.

Podczas tej rozmowy stało się dla niej jasne, że można kogoś pragnąć, a mimo to czuć do niego wrogość. I dobrze, że czuła wrogość, ponieważ było to sto razy lepsze niż snucie sentymentalnych mrzonek, co by było, gdyby została na moście z przystojnym nieznajomym...

Przyglądał jej się takim wzrokiem, jakby chciał nim przewiercić ją na wylot.

- Jesteś twarda i pewna siebie. Bardzo sprytnie poradziłaś sobie ze mną nad rzeką - dodał.

Żachnęła się.

- Wcale nie. Przecież uciekłam.

Milczał przez długą chwilę, a Jo nie rozumiała, skąd ta nagła pauza w rozmowie.

- Tak, uciekłaś - rzekł dziwnym tonem, którego nie umiała rozszyfrować.

Odwróciła wzrok.

- Dobrze, wracajmy do rzeczy. Udało ci się zawrzeć znajomość z Crispinem i przekonać go, żeby zainstalował cię w zamku, gdzie znajduje się bezcenna kolekcja starych samochodów i inne drobiazgi oraz para starszych ludzi. Tak więc zdołałaś pozbyć się stąd dwóch mężczyzn, którzy mieli tu wszystkiego pilnować podczas mojej nieobecności, i zająć ich miejsce. W jaki sposób przekonałaś do tego Crispina? A może mam sam zgadnąć?

Wreszcie zrozumiała, o co mu chodzi.

- Według ciebie jestem złodziejką?

- Och, nie nazwałbym tego tak dosadnie. Powiedzmy, że spełniasz rolę... nazwijmy to... forpoczty. Twój chłopak czeka w bezpiecznym miejscu, a ty wyruszyłaś na zwiady.

Zatkało ją. Zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć, więc tylko bezwiednie uniosła dłoń, jakby próbując odepchnąć od siebie te obrzydliwe podejrzenia. Ku jej zaskoczeniu Patrick wykonał coś w rodzaju pojednawczego gestu.

- Gdybym jednak się mylił, to przepraszam.

- I rzeczywiście się mylisz. Zajrzyj do swojego biurka, tam są moje referencje, powiedziałam Crispinowi, że ma ich zażądać.

Przypomniała sobie, jak Crispin jęczał, gdy musiał usiąść przy biurku i napisać do Jacques'a z prośbą o wystawienie opinii na temat Jo.

- Wiedziałem, że to ty za tym stałaś. Mój brat nigdy nie pomyślałby o zażądaniu referencji, jest zbyt nieodpowiedzialny. Ale ktoś planujący kradzież zadbałby o uwiarygodnienie osoby, która miałaby dostać się na teren upatrzonemu obiektu w sposób nie budzący podejrzeń.

- Och! Na to nie wpadłam - wyznała.

- Widzę. Ten Jacques Sauveterre to twój kochanek? - rzucił obojętnym tonem.

Nie wierzyła własnym uszom.

- Mój kto?!

- Nie wiem, jak to nazywasz. Partner. Gach. Kochaś.

Ich oczy spotkały się i zapadło napięte milczenie. Po długiej chwili Patrick odetchnął głośno.

- W porządku. Jeśli nie chodziło o kradzież, czemu tak bardzo chciałaś się tutaj dostać?

- Ze względu na pracę, mówiłam ci już. To nie przestępstwo, prawda?

- To czemu uciekłaś się do oszustwa? Czemu udawałaś chłopaka?

- Crispin powiedział, że nigdy nie zatrudnisz dziewczyny, ani w ogóle nie wpuścisz jej za próg zamku. Pomyślałam, że to głupie, ale co było robić?

Pogodziłam się z myślą, że praca przeleciała mi koło nosa. A potem spotkaliśmy panią Morrison, która wzięła mnie za chłopaka i Crispin powiedział, że to jest rozwiązanie. I że nie musisz wiedzieć, kto naprawdę wykonał robotę, skoro będzie zrobiona dobrze...

- Niania jest prawie niewidoma. Nie było ci wstyd wykorzystywać czyjeś kalectwo?

Zaczerwieniła się i spuściła wzrok.

- Było, ale...

- Tak, wiem, potrzebowałaś pracy - przerwał jej. - I muszę przyznać, że faktycznie dobrze się spisałaś.

W sercu Jo nieśmiało odezwała się nadzieja. Czyżby rozważał zatrzymanie jej w charakterze mechanika? I czy tylko mechanika? Pomyślała o jego nagiej skórze, o hipnotyzujących oczach, o zmienionym tonie głosu, gdy pytał Jo, gdzie ma jej szukać.

Co też ona sobie wyobrażała? Tyczkowate strachy na wróble nie powinny sobie roić takich rzeczy. To nie dla nich.

- Nadal potrzebuję mechanika... - myślał na głos. - Znasz się na rzeczy. Ale miałbym zatrudnić... ciebie?

- A czemu nie, skoro się na tym znam?

- Bo równie dobrze mógłbym sobie podłożyć bombę z opóźnionym zapłonem.

Podniosła na niego zdumiony wzrok, więc dodał:

- Czy twoim zdaniem nasze pierwsze spotkanie sprzyjało nawiązaniu stosunków pracodawca-pracownik?

Serce podskoczyło jej w piersi, gdy sobie przypomniła, jak stała przed nim naga w rzece. I w jaki sposób złapał ją za rękę, gdy oddawała mu koszulę - zacisnął wtedy jej dłoń jak w imadle, wciąż czuła na skórze ten dotyk. Przebiegł ją dreszcz, co Patrick natychmiast zauważył.

- Właśnie - podsumował.

- Ale przecież ciebie tu nie będzie. Crispin mówił, że prawie tu nie zaglądasz i że przez całe lato...

- Mylił się - uciął. - Plany się zmieniły. Zostaję teraz na zamku.

Zagryzła wargi.

- Spróbuję nie wchodzić ci w drogę.

- Próbować możesz... - odparł z ponurym rozbawieniem.

- Wcale nie musisz mnie widywać, naprawdę. Będę siedzieć tylko w garażu i na strychu.

- Ale ja będę wiedział, że tam jesteś...

Na moment wyraz jego oczu zmienił się i znów spojrzały na nią tak jak wtedy nad rzeką - ciepło, z wyraźnym zaintrygowaniem, nieco prowokacyjnie. Widniało w nich oczekiwanie, ale też i zdumienie, jakby trudno było uwierzyć w to, co się działo. Jo zamarła. Nagle Patrick odwrócił wzrok, cofnął się, podszedł do okna i zapatrzył się w dal, wbiwszy ręce w kieszenie.

- Wiesz, czemu dziewczyny nie mają tu wstępu?

- N-nie - odparła słabym głosem, wstrząśnięta tą minioną chwilą.

- Osiem lat temu, gdy zaczynałem być sławny, pewna szesnastolatka postanowiła też zostać sławna, a najszybciej i najłatwiej jest to osiągnąć, wiążąc się z kimś znanym, prawda? Jeśli nie na stałe, to przynajmniej na tyle spektakularnie, by o tym pisano w gazetach. Przyjaźniłem się z jej ojcem, więc padło na mnie. Na jego prośbę dałem Maddie popracować w moim zespole przez wakacje, chociaż była na to jeszcze za młoda.

- I co zrobiła? Zerknął na nią.

- Czyli wierzysz, że to ona coś zrobiła, a nie ja? I masz rację. - Jego wzrok znowu powędrował za okno. - Wyznała mi uczucie i powiedziała, że chce mieć ze mną romans. Nie potraktowałem jej poważnie, skwitowałem, że to szczenięce zadurzenie i zapomniałem o całej sprawie. Nawet osiem lat temu byłem za stary dla pańienek z college'u.

Ale ja nie jestem pańienką z college'u, pomyślała Jo i omal nie powiedziała tego na głos. Chyba upadła na głowę. Oczywiście, że Patrick Burns był dla niej za stary. I za bardzo doświadczony. I w ogóle.

- Ty zapomniałeś, ale ona nie?

- Dokładnie. Któregoś dnia poleciliśmy całą ekipą do Waszyngtonu i byliśmy zajęci przez prawie całą noc. Maddie powiedziała, że ma randkę i zwinęła się tuż po północy. Ja wróciłem do hotelu o czwartej nad ranem. Zauważyłem w holu kilku fotoreporterów, ale nie zwróciłem na nich większej uwagi. Kiedy wszedłem do pokoju, Maddie czekała na mnie w łóżku, naga, ale w pełnym makijażu. Oglądała telewizję, żeby nie zasnąć.

Jo pomyślała, że gdyby to ona leżała nago w łóżku Patricka, czekając na jego powrót, na pewno nie czułaby się ani trochę senna i w ogóle nie przyszłoby jej do głowy, by włączyć telewizor. Czym prędzej odsunęła od siebie tę wizję.

- Postawiła sprawę jasno. Albo skorzystam z jej oferty, albo oskarży mnie o gwałt.

- Co takiego?

- Wcale nie żartowała. Straciłem cierpliwość. Pewnie powinienem był potraktować ją łagodniej, ale byłem zmęczony i miałem dość. Kazałem jej się ubierać i zmiatać do swojego pokoju. Kiedy nie posłuchała, sam ją ubrałem, na swoje nieszczęście byle jak i praktycznie wywlokłem na korytarz, gdzie już czekano z aparatami, fleszami i mikrofonami.

- I rzeczywiście powiedziała, że ją zgwałciłeś?

- Wcale nie musiała - skwitował kwaśno. - Płakała, ubranie miała przekrzywione i porozpinane, a ja wyrzucałem ją z mojego pokoju hotelowego o czwartej nad ranem.

- I co się stało?

Wzruszył ramionami, odwrócił się od okna.

- Straciłem pracę. Ojciec Maddie, wpływowy gość w Waszyngtonie, groził mi wszystkimi możliwymi konsekwencjami.

- Sądzone cię? - spytała ze zgrozą.

- Nie. Po pierwsze, miałem świadków, że to Maddie uganiała się za mną, a nie na odwrót, po drugie moi prawnicy udowodnili, że paparazzi nie mieli żadnego powodu, by kręcić się akurat w tamtym miejscu i akurat o tej porze, o ile ktoś nie obiecał im sensacyjnego materiału. Maddie dobrze wyszła na całej historii finansowo, bo jest duże zapotrzebowanie na opowieści, jak to pracownica jest wykorzystywana seksualnie przez szefa, ale i tak podobno dalej grozi mi zemstą. Zresztą wiele osób w Stanach wierzy w jej wersję wydarzeń i chętnie posłałoby mnie za kratki. Włącznie z moim byłym przyjacielem, jej ojcem.

Jo widziała, że bardzo to wszystko przeżył, chociaż starał się relacjonować wydarzenia bezosobowym, rzeczowym tonem. Bezwiednie postąpiła krok w jego stronę, pragnąc okazać mu współczucie, lecz zatrzymała się w porę.

- Przykro mi - rzekła szczerze.

- To był trudny okres - przyznał. - Myślałem, że moja kariera się skończyła, ale dostałem nową pracę i osiągnąłem sukces. Jestem znany na trzech kontynentach, politycy zasięgają moich rad, a gwiazdy rocka zapraszają mnie na przyjęcia - wyliczał z głęboką ironią.

- A co robią młode dziewczyny? - spytała cicho.

- Te porządne zwiewają, aż się kurzy, bo znają moją reputację, w końcu wielokrotnie opisano mnie w kolorowych magazynach.

- A te inne?

- Też biegną co sił, tylko w przeciwnym kierunku. Różne podstępny stosują, więc myślałem, że już wszystko widziałem. Ale jeszcze żadna kobieta nie zbliżyła się do mnie, udając chłopaka.

Jo wyprostowała się z godnością.

- Jutro wyjeżdżam - oznajmiła i ruszyła ku drzwiom.

Już miała je otworzyć, gdy za jej plecami Patrick odezwał się cicho:

- Chyba mnie przekonałaś.

Zerknęła na niego przez ramię.

- Słucham?

- Zaczynam wierzyć, że naprawdę lubisz samochody i nie planujesz napisać tekstu pod tytułem „Moja noc z gwiazdą”.

Na myśl o spędzeniu z nim nocy zadrżała, nie zdołała się powstrzymać. Nie powiedziała nic, ale też nie wyszła z gabinetu. Patrzyła na Patricka na poły z rezygnacją, na poły z nadzieją, przy czym nie była do końca pewna, czego tak naprawdę ta nadzieja dotyczyła.

- Dobrze, spróbujemy. Na razie możesz zostać. I niech Bóg ma w swojej opiece nas oboje, jeśli popełniam błąd.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Ale pod jednym warunkiem - dodał.

Tak, domyślała się, że przyjdzie jej zapłacić za to cenę...

- Przyznasz się niani, kim jesteś. Żadnego więcej udawania chłopaka.

Jo prawie odczuła ulgę. Prawie.

- Kiedy ona uzna, że jestem podła, skoro tak wykorzystałam jej kalectwo.

- I dobrze ci tak - skwitował bez śladu współczucia. - Trzeba było o tym pomyśleć, zanim zaczęłaś ją okłamywać.

- Żałuję, że w ogóle spotkałam twojego brata! - wybuchnęła.

- Albo przyznasz się niani do wszystkiego, albo tu nie pracujesz - oznajmił zimno.

Widać jest mu doskonale obojętne, czy zostanie, czy nie, pomyślała z goryczą, kompletnie już wyleczona z mrzonek i iluzji na jego temat.

- Przyznam się.

- Lepiej naprawdę to zrób, bo sprawdzę.

- Nie wątpię... - wymruczała pod nosem.

Podszedł do mahoniowego biurka i sięgnął po jakieś papiery.

- Słusznie - odparł i skinął głową, ewidentnie odprawiając Jo.

Zacisnęła zęby i wyszła.

Przyznanie się do winy okazało się ogromnie trudne. Jo dukała nieporadnie, jąkała się, przestępowała z nogi na nogę, aż wreszcie zdołała z siebie wydusić, o co chodzi.

- Strasznie mi przykro, ja wcale nie chciałam... Ale kiedy pani wzięła mnie za chłopaka, Crispin powiedział, że to nasza jedyna szansa, bo inaczej

powiadomi pani Patricka i wszystko przepadnie - tłumaczyła cokolwiek nieskładnie.

Pani Morrison długo milczała, co wprawiło Jo w stan desperacji.

- Od tego zależało, czy tu zostanę, a ja strasznie, ale to strasznie potrzebowałam tej pracy!

Gospodyni poklepała ją po ręku.

- Rozumiem, moje dziecko. W swoim czasie ja też szukałam pracy.

- Czuję się wobec pani i pani męża jak ostatnia świnia! Ale przysięgam, że to mi ciążyło; to była jedyna rzecz, która nieustannie psuła mi pobyt tutaj.

Pani Morrison otoczyła ją ramieniem i uścisnęła.

- Nie ma co dramatyzować. Każdy z nas popełnia błędy.

- Pani musi być najwspanialszą nianią na świecie - orzekła Jo i uciekła na swój strzyżek, żeby nie rozbeczeć się na jej oczach.

George jednak się obraził. Ani nie zaproponował wspólnego spaceru, ani nie poprosił, by Jo zawiozła go nad rzekę, ani nie odzywał się do niej podczas kolacji. I nie mogła go za to winić.

- Ale czemu Crispin myślał, że będzie mi przeszkadzało, jeśli zaczniesz tu pracować jakaś dziewczyna? - zagadnęła Jo zaciekawiona pani Morrison.

- Nie o panią chodziło, a o jego brata. Podobno żadna dziewczyna nie ma tu wstępu.

- A skądże! Masa pań do niego przyjeżdża i zostają tak długo, jak chcą. A już pani Legrain to całkiem często tu nocuje.

Jo prawie wyskoczyła ze skóry na te słowa. Ale czego się spodziewała? Przecież to oczywiste, że seksowny, bogaty i znany mężczyzna nie żyje w celibacie.

George łypnął na żonę.

- Lepiej nie powtarzaj plotek o Patricku. Już i tak ludzie go za dużo obgadują.

- Przecież nie plotkuję, kiedy mówię, że ma kogoś. Czekam, kiedy wreszcie się pobiorą. W dzisiejszych czasach ludzie robią te rzeczy w innej kolejności niż kiedyś.

Jo miała gorącą nadzieję, że uwaga o owej pani Legrain nie była wygłoszona ze względu na nią. Czyżby gospodyni wyczuła dziwne napięcie między nią a Patrickiem? Oby nie! Udając kompletny brak zainteresowania tematem, ze znudzoną miną dołożyła sobie sałatki.

- Chyba nie zostaniesz dalej na stryszku w szopie? - spytała pani Morrison. - To dobre dla chłopaka, ale nie dla dziewczyny.

- Kiedy mnie naprawdę się tam podoba - rzekła z przekonaniem Jo, której spartańsko urządzone, lecz czyste mieszkanko szofera wydawało się luksusem w porównaniu z wieloma miejscami, w których przyszło jej nocować. - Patrick... to jest pan Burns nic nie mówił, że mam się dokądś przenieść. Więc...

Państwo Morrison wymienili spojrzenia i przez chwilę panowało milczenie.

- Dobrze, w takim razie zaczekam z przygotowaniem dla ciebie pokoju na zamku.

Niedługo potem Jo życzyła państwu Morrison dobrej nocy i wyszła. Powoli zapadał zmrok. Kiedy przecięła dziedziniec, zauważyła, że drzwi ogromnej szopy służącej za garaż są uchylone, podczas gdy dałaby głowę, że jak zwykle starannie zamknęła je na klucz. Poklepała się po kieszeni. Klucze zabręczały, więc nie zgubiła ich i nikt nie mógł z nich skorzystać. Czyli wewnątrz był ktoś, kto również posiadał klucz. Serce zabiło jej mocniej.

Weszła do środka. W pierwszej chwili zupełnie nic nie widziała, jej wzrok potrzebował chwili, by przyzwycząić się do ciemności.

- Wyznałaś swoją winę? - odezwał się nagle w mroku znajomy głos.

Lata doświadczeń nauczyły Jo, by nie okazywać przestachu, więc nawet nie drgnęła.

- Tak. Pani Morrison potraktowała mnie bardzo miło, ale jej mąż jeszcze nie zdecydował, czy mi wybacza, czy nie.

- Och, z pewnością niedługo ulegnie twojemu urokowi i wszystko ci wybaczy - odparł Patrick ironicznym tonem.

- A teraz pokaż mi, jak mieszkasz.

Zobaczyła, że stał przy jednym z rolls-royce'ów, opierając nogę na stopniu.

- Chodzi ci o mieszkanie na górze?

- Mieszkanie? O ile mnie pamięć nie myli, to zwykły strych.

- O nie, to znacznie więcej niż strych. Chodź i sam się przekonaj.

Kiedy ruszył ku schodom, zauważyła, że utykał.

- Kurcz cię złapał? Może przysiadź na chwilę - zatroszczyła się.

- Nie, utykam z innego powodu - odparł z roztargnieniem. - Każdy, kto wejdzie do szopy, ma dostęp do strychu, prawda?

Chciała go zapytać, co mu się stało w nogę, ale wyraźnie nie miał ochoty o tym mówić.

- Tak, w końcu to dawne mieszkanie szofera. Pewnie poprzedni właściciel chciał mieć go pod ręką na każde zawołanie.

- Czyli mój ojciec chrzestny, bo to po nim odziedziczyłem zamek. Był dość despotyczny, pasuje do niego taki nonszalancki stosunek do służby. Widać założył, że szofer w razie czego sobie poradzi. Wybacz.

Jo, która już weszła na schody, zerknęła na niego przez ramię.

- Nie rozumiem...

- Nie jesteś kawałem chłopca z kluczem francuskim w jednym ręku i lutownicą w drugim, prawda? Dobra, możesz mnie oskarżyć o brak poprawności politycznej, proszę bardzo - dodał, gdy rzuciła mu wymowne spojrzenie. - Ale to nie jest bezpieczne miejsce dla kobiety, szczególnie młodej. I lekkomyślnej.

Jo przystanęła na podeście przed drzwiami.

- To niby o mnie? Ja nigdy nie jestem lekkomyślna!

- Przekonaj mnie, że rozebranie się do naga i pływanie w rzece, gdy nie ma się przy sobie nikogo pomocnego, jest oznaką rozsądku.

Żałowała, że o tym powiedział. Tak bardzo starała się zapomnieć o ich pierwszym spotkaniu!

- A gdyby złapał cię kurcz? Gdybyś zaplątała się w wodorosty lub spotkała tam kogoś mniej... powściągliwego niż ja? Ale teraz jestem za ciebie odpowiedzialny, skoro zostałeś moim pracownikiem. - Dotarł wreszcie do podestu i z dezaprobatą obejrzał drzwi. - Tylko popatrz! Przecież każdy może tu wejść!

Jo parsknęła śmiechem. W porównaniu z wieloma innymi miejscami, które poznała aż za dobrze, to wydawało jej się oazą bezpieczeństwa. Weszła do przestronnego pomieszczenia, długiego na pół szopy. Pachniało w nim polnymi kwiatami, które stały na stole w słoiku po dżemie. Podobny bukiet ozdobił parapet trójkątnego okienka. Patrick nie patrzył na pokój, dalej tkwił przy drzwiach.

- Nie ma nawet zamka!

- Po co? Jest na dole w drzwiach do szopy. Zresztą nikt tu nigdy nie przychodzi.

- Ja przyszedłem...

Przez długą chwilę panowała cisza, gęsta jak mgła, w której nie można odnaleźć właściwej drogi.

- Posłuchaj, możesz chodzić w starych łachach i pracować jako mechanik samochodowy, ale przy tym wszystkim jesteś kobietą, i to niezwykle seksowną. Mieszkasz tu zupełnie sama. Gdybyś na przykład wołała o pomoc, nikt na zamku cię nie usłyszy.

Seksowną?

Seksowną?!

Aż przebiegł ją dreszcz, co wcale jej się nie spodobało, gdyż do tej pory nigdy nie drżała przed nikim. Tylko Patrick Burns powodował, że zaczynała dygotać, a Jo wcale sobie tego nie życzyła. Dumnie uniosła brodę.

- Czemu miałabym wzywać pomocy? Sama potrafię o siebie dbać.

- Pozwolę sobie zakwestionować to stwierdzenie, sądząc po tym, co widziałem dziś nad rzeką...

Zaczerwieniła się, mimo to próbowała spiorunować go wzrokiem. W odpowiedzi kpiąco uniósł brwi.

- Przyznaj się. Nieźle cię wtedy przestraszyłem.

Było to stanowczo zbyt bliskie prawdy, więc Jo uciekła się do starego, wypróbowanego sposobu - nonszalancji.

- Wcale nie. Gdybyś miał czarny płaszcz i długie kły, to kto wie, ale świeciło słońce, a do pełni daleko...

- Ciekawe - odparł uprzejmie. - Czemu więc rzuciłaś się do ucieczki w samym środku rozmowy?

- Może nagle przypomniałam sobie, że bardzo się dokądś spieszę?

- Dokąd? - Przeniósł spojrzenie na jej dłonie. - Podrapać sobie ręce o ciernie?

Jo nie chciała się przyznać, ale była też realistką.

- W porządku. A jeśli ci powiem...

- Żadnych więcej wykrętów, proszę - uciał sucho. - Bałaś się. I wcale ci się nie dziwię - dodał nieoczekiwanie.

Zacisnęła zęby.

- Nie bałam się. Właściwie nie wiem, czemu uciekłam. Przymknął oczy, a wtedy ujrzała, jak długie miał rzesy.

- Nie wiesz? - spytał cicho.

Podrywał ją? Droczył się? Jo nie miała zbyt wielkiego doświadczenia w tych sprawach, a ten mężczyzna najwyraźniej odkrył, że ona jest kompletną

amatorką. Lata trudów i samotnej walki z rzeczywistością nauczyły ją bardzo wiele, ale w dziedzinie flirtu pozostała kompletnie zielona.

- Chyba mi za dobrze - wyrwało jej się.

- Słucham? - zdumiał się.

- Trzy miesiące temu nic bym nie zauważyła - rzekła z irytacją.

- Czego byś nie zauważyła? Tego, że się przelekłaś? A może mnie?

Ale wcale nie o tym mówiła. I chyba on wiedział równie dobrze jak ona.

- Mylisz się co do mnie. Nie jestem dzieckiem. Od lat sama na siebie zarabiam i sama o siebie dbam.

- A nie powinnaś - stwierdził. - Lepiej mi opowiedz, jak to się stało, że jesteś taka samodzielna. Kiedy uciekłaś z domu rodzinnego?

Zesztywniała.

- To chyba nie twoja sprawa.

- Przypominam, że pozwoliłem ci tu zostać warunkowo. Jeśli, podkreślam to słowo, mam zostać twoim pracodawcą, muszę wiedzieć, z kim mam do czynienia.

Jo uprzytomniła sobie, że on trzymał w ręku wszystkie karty. Musiała się poddać.

- Niech ci będzie. Dawno temu. Kilka lat.

- Lat? - Uniósł brwi. - Przecież masz dopiero dziewiętnaście! Uciekłaś jako nastolatka i twoi rodzice nie sprowadzili cię z powrotem do domu?

- Opiekunowie - skorygowała. - Możesz ich nazwać przybranymi rodzicami, jeśli wolisz. Ja mówiłam do nich „ciociu” i „wujku”.

Spojrzał na nią z troską.

- Tak, ale nawet przybrani rodzice...

- Nie dali rady mnie znaleźć. Potrafię się dobrze ukryć.

- Byłaś trudnym dzieckiem? Ostra muzyka, seks, narkotyki?

Jo aż wybuchnęła śmiechem i przez długą chwilę nie mogła się uspokoić.

- Nie, nic z tych rzeczy - odparła, gdy wreszcie odzyskała głos.

W jego oczach pojawił się błysk rozbawienia.

- Aha, czyli po prostu uparciuch. Dziewczyna, która zawsze i wszędzie musi postawić na swoim, choćby nie wiadomo co?

- Tak jak Maddie?

- Tak - odparł po chwili.

- Mylisz się. Jestem niewinna. Nigdy nawet nie flirtowałam z facetem.

- Niewin... - zaczął z wyraźnym zafascynowaniem, potem urwał i wysoko uniósł brwi. - Naprawdę nigdy?

Jo była na siebie wściekła. Jak mogło jej się wyrwać podobne wyznanie?

- Bo nie potrzebowałam - oznajmiła, starając się ratować sytuację, lecz sądząc po głośnym śmiechu Patricka, nie udało jej się.

- Dobrze, wierzę ci. Nie byłaś ani rozwydrzona, ani egzaltowana. Czemu więc uciekłaś od rodziców? Przepraszam, przybranych rodziców - poprawił się, gdy jej brwi ściągnęły się.

Postanowiła powiedzieć mu prawdę, oczywiście nie całą, gdyż nie zamierzała wspominać ani słowem o Marku.

- Zrozum, jestem jak niechciany bagaż. Matka mnie porzuciła. Wujek... oczywiście to nie jest prawdziwy wujek, nie ma między nami żadnych więzów krwi, otóż wujek jest alkoholikiem i hazardzistą. Kiedy przegrywa, pije, a kiedy jest pijany, bierze się do bicia. Jak długo ma kogoś innego do bicia, jego żonie to nie przeszkadza. - Spojrzała Patrickowi w oczy i rzekła dobitnie: - Ale mnie przeszkadzało. Patrzył na nią ze zgrozą.

- Bił cię? Wzruszyła ramionami.

- Tak. Raz złamał mi dwa zębra. Zabrali mnie wtedy do lekarza, bo bolało mnie przy oddychaniu. Zrobiłam sobie kopię wyników badań. Kiedy wujek drugi raz próbował urządzić mnie w podobny sposób, uciekłam i od tej pory nie widziałam ich na oczy.

Patrick był w szoku.

- Wciąż masz tę kopię? Uśmiechnęła się ponuro.

- O tak. To moja polisa ubezpieczeniowa.

- Jesteś bardzo przewidująca... I dokąd poszłaś, kiedy uciekłaś?

- Nie miałam dokąd pójść. Od tamtej pory jestem bezdomnym włóczęgą.

- Co?! - W jego głosie brzmiał z trudem wstrzymywany gniew.

- A co miałam zrobić? - odparła, broniąc się. - Nie mogłam zatrzymać się u żadnego z przyjaciół, bo tamci dwoje na pewno szukali mnie wszędzie. Gdyby mnie znaleźli, oberwałoby się również temu, kto by mi pomógł. Pierwszą noc spędziłam na dworcu kolejowym. Para przyjaciół dała mi trochę pieniędzy na podróż, pojechałam do Manchesteru. Dwa dni później zaczęłam się jako kelnerka w przydrożnym barze. Jest całkiem sporo miejsc, gdzie można pracować na czarno. Nikt cię nigdzie nie rejestruje, dostajesz wypłatę do ręki, czasem taka robota trwa parę dni, czasem i ze trzy tygodnie, jeśli masz fart.

- No dobrze, ale gdzie mieszkałaś? - naciskał.

- Wszędzie, gdzie się dało. Cały czas przenosiłam się z miejsca na miejsce. Czasem nocowałam w schronisku młodzieżowym. Parę squatów było fajnych. Wiesz, to lokale zajmowane na dziko. Squatersi są generalnie sympatyczni i przyjaźni. Czasem aż za bardzo... Raz w Londynie musiałam szybko się zwijać, bo cała tamta komuna ćpała, a przewodził im chory maniak.

- Wielki Boże!

- W sumie nie było tak źle - pospieszyła z zapewnieniem. - Czasem tylko zimno... A potem znalazłam ośrodek pomocy dla kobiet. Dzięki tamtym ludziom stanęłam na nogi.

- Teraz rozumiem, czemu się o siebie nie boisz. Przepraszam, jeśli cię uraziłem, drażąc temat twojego bezpieczeństwa, ale...

- Nie musisz przeproszać, po prostu nie traktuj mnie jak małej dziewczynki, która wciąż śpi z pluszowym misiem, bo to mnie irytuje.

- Nie miałem takiego zamiaru i przykro mi, jeśli sprawiało to takie wrażenie. - Zamilkł na chwilę, a potem odezwał się, bardzo starannie dobierając słowa: - Ale spróbuj spojrzeć na to także z mojego punktu widzenia. Zatrudniam

cię, więc jestem za ciebie odpowiedzialny. Jesteś tu zupełnie sama razem z samochodami wartymi kilka milionów euro. To naturalne, że troszczę się o bezpieczeństwo tego miejsca i mojego pracownika. Każdy rozsądny człowiek postąpiłby dokładnie tak samo.

Zrozumiała, że trafiła na prawdziwego mistrza, który potrafi przegadać każdego. Jego wywodowi nie dało się niczego zarzucić.

- Czy ty zawsze musisz postawić na swoim?

- Słucham?

- Przecież i tak zrobisz, co zechcesz, niezależnie od tego, co ja myślę i co powiem. Prawda?

- Obawiam się, że tak. W końcu to mój dom - przypomniał jej łagodnie.

Wróciły do niej echem słowa Crispina: „W swoim domu Patrick ustanawia własne prawa”.

- No to rozglądaj się tu dalej, rządz. Przecież to twoje - rzuciła zgryźliwie.

- Nie traktuj tego jak ataku na twoją niezależność i prywatność. Kieruje mną wyłącznie troska o ciebie.

Dumnie uniosła brodę.

- Nikt się o mnie nigdy nie troszczył.

- No to ja zacznę - oznajmił z nagłą irytacją. - A jak ci się nie podoba, możesz poszukać innej pracy.

Pokonana, opuściła brodę.

- Tak myślałem, że to poskutkuje... - mruknął Patrick i zaczął rozglądać się po strychu, urządzonym paroma rozlatującymi się meblami. - Zapadające się łóżko, krzesło bez oparcia, słoiki zamiast wazonów, a w nich zielsko... - Wyliczał z niezadowoleniem. - Zajmę się tym.

- Nie chcę niczyjej łaski - ostrzegła groźnym tonem Jo.

- Przecież już ustaliliśmy, że liczy się to, czego ja chcę - przypomniał spokojnie. - Przestań się krzywić - zakomenderował, a potem nagle w jego

oczach pojawił się uśmiech. - Weźmiesz to, co mam ci do dania, i będzie ci się to podobać...

Mruknęła coś niechętnie, ale nie sprzeczała się, gdyż w sumie nie miała nic przeciw wygodniejszemu łóżku, chociaż duma nie pozwalała jej się do tego przyznać. Tymczasem Patrick odwrócił się i spojrzał na półkę z paroma książkami, które Jo kiedyś kupiła. Były mocno zniszczone od ciągłego czytania.

- Ciekawy masz gust - zauważył, czytając tytuły na grzbietach.

- Lubię historie dziejące się gdzie indziej i kiedy indziej. Niezależnie od tego, co ludzie mówią, czasem dobrze jest zapomnieć o rzeczywistości, w jakiej się żyje.

- To prawda. Czyli książki to twoje wyjścia awaryjne?

- Och, nie. Wyjścia awaryjne muszą być realne. Książki są dla przyjemności, nie dla ratunku.

Spojrzał na nią z dziwnym wyrazem twarzy.

- Często musiałaś się ratować?

- Wystarczająco często, żeby wiedzieć, że zawsze trzeba mieć przygotowaną drogę ucieczki.

- Masz absolutną rację - rzekł z powagą, a potem nagle zmienił temat. - Dobrze, zrobimy tak. Zamki w oknach i drzwiach, na dole podwójne drzwi plus kłódka. A do tego...

I spędził następną godzinę, szczegółowo oglądając całe mieszkanie wraz z małą łazienką i częścią kuchenną, odkręcając kurki, pukając w rury, sprawdzając, czy krokiew trzymają się mocno i czy deski w podłodze nie zaczęły próchnieć. Z każdym krokiem kulał coraz mocniej, wreszcie padł jak długi na uginające się łóżko. Skrzywił się.

- Ależ jest niewygodne! Zapadłem się, jakbym był dwa razy cięższy. Nie rozumiem, czemu Crispin nie zamówił dla ciebie paru nowych mebli.

- Bo nie widział tych. Nie wchodził tutaj.

- To kto cię tu przyprowadził? Niania? Bo przecież nie George.

- Nikt. Pani Morrison dała mi świeżą pościel i już.

- Czyli jestem twoim pierwszym gościem... - zamyślił się na głos. -

Gdybym wiedział, przyniosłbym szampana.

- Nie jesteś gościem. Jak sam przed chwilą zauważyłeś, jesteś tutaj panem.

- Tutaj ty jesteś panią - odparł z naciskiem. - Nikt nie może tu wejść bez twojego zaproszenia. - Roześmiał się na widok jej miny. - Od tej pory to prawo obowiązuje również mnie. Nie przyjdę więcej sam, będziesz musiała mnie zaprosić z tym szampanem. - Inaczej ułożył nogę, jakby go bolała.

- A czym podejmiesz dzisiaj swojego gościa?

- Jest herbata cytrynowa. I kawa, ale rozpuszczalna. I nie mam śmietanki.

- Niech będzie herbata.

Jo przeszła do części kuchennej, a ponieważ miała świadomość, że Patrick patrzy na nią przez cały czas, ręce zaczęły jej się trząść i omal nie potłukła dwóch fajansowych kubków. Wreszcie przyniosła mu gotową herbatę. Usiadł, skrzywił się z bólu i przyjął pozycję na poły siedzącą, na poły leżącą, opierając się o zagłówek.

- Co ci się stało w nogę?

- Nie wiesz? - zdumiał się. Aż prychnęła cicho.

- Do dzisiaj znałam tylko twoje imię.

Wybuchnął śmiechem, chociaż ściągnięte rysy zdradzały, że wciąż odczuwał ból.

- No to pokazała ci, gdzie twoje miejsce, Burns! - Spojrzał na Jo. - Nie myśl, że jestem nieznośnie próżny. Po prostu tyle osób podchodzi do mnie na ulicy, ponieważ mnie zna, że zapominam, że są ludzie, którzy nic o mnie nie wiedzą.

Kim on był, u licha? Jo jednak prędzej umarłaby, niż zadała to pytanie.

- No to robię ci podwójną przysługę - rzuciła nonszalanckim tonem.

- Dbasz o moje samochody i o to, żebym nie miał przerostu ego?

- Aha.

- Pewnie jeszcze powinienem być ci wdzięczny? - spytał z ironią.

- Oczywiście, bo dobrze ci to zrobi. Powiesz mi, co się stało, czy to moja praca domowa i mam sobie sama sprawdzić w lokalnej bibliotece?

- Aż taki próżny nie jestem... Po prostu byłem korespondentem wojennym i znalazłem się na linii ognia.

Korespondent wojenny! Była pod wrażeniem, ale nic po sobie nie okazała.

- W takim razie powinieneś odpoczywać, zamiast łązić po strychach.

- To już stara rana, nic mi nie jest - uciał. - Tyle tylko, że nie mogę biegać.

Chociaż starał się mówić lekkim tonem, Jo widziała, że brak pełnej sprawności fizycznej go frustruje.

- Czy to aż takie istotne?

- W mojej pracy raczej tak. Zresztą ty powinnaś to rozumieć. - Zerknął na nią z niespodziewanym uśmiechem.

- Co za pożytek z wyjść awaryjnych, jeśli nie możemy ich szybko dopaść?

Zrozumiała nagle, że z nią flirtował. I że - co jeszcze dziwniejsze - ona też już potrafi wziąć udział w tej grze.

- Słusznie. Proszę, czyli mamy jednak ze sobą coś wspólnego! - rzekła z udawanym zdumieniem.

Uśmiechnął się, patrząc jej prosto w oczy.

- Och, znajdzie się dużo więcej... Poczekaj, a zobaczysz.

ROZDZIAŁ PIĄTY

W głowie Jo rozległ się sygnał alarmowy. Spuściła wzrok, niepewna sobie, niepewna Patricka, niepewna całej sytuacji, a przecież bardzo rzadko czuła się niepewnie. Ściągnęła brwi.

- Masz bardzo zaciętą minę - zauważył. - Obraziłem cię czymś?

Nadal nie patrzyła na niego.

- Nie rozumiem cię.

- Naprawdę? - spytał z łagodną kpina w głosie.

Zrobiło jej się gorąco, zarumieniła się. Po chwili namysłu uznała, że szczerłość będzie najlepsza.

- Naprawdę. Chciałeś mnie stąd wyrzucić. Zresztą, sądząc po twoich uwagach, cały czas rozważasz taką możliwość. A mimo to...

- Mimo to leżę w twoim łóżku i piję twoją herbatę. I to bez zaproszenia - przekomarzał się.

Wykonała gniewny gest.

- Nie potrzebujesz go. Jesteś u siebie.

- Mówiłem ci już, że to twoje miejsce, jak długo tu jesteś.

O nie, pomyślała. To pułapka, w którą nie wolno dać się złapać. Jeśli człowiek przywiązuje się do miejsc, do ludzi, łamie sobie serce, kiedy musi odejść.

- Nie - odparła z determinacją. - Ja nie mam żadnego miejsca.

Poruszył się gwałtownie Jo zerknęła na niego i na widok grymasu bólu natychmiast zapomniała, że czuła do Patricka jakąkolwiek urazę. Zapomniała, że przebiega ją słodki dreszcz, ilekroć słyszy jego głos. Zapomniała, że ma być ostrożna.

- Musi cię bardzo boleć - rzekła znacznie łagodniejszym tonem.

Wzruszył ramionami z wyraźną irytacją.

- Nic mi nie jest. Po prostu noga mi trochę zeszywniała, widać za długo dziś prowadziłem.

- Czyli sam nie postępujesz rozsądnie, a innym wytykasz lekkomyślność? No ładnie! Bierzesz jakieś lekarstwa? Może ci je przynieść?

- Nie rób niepotrzebnego zamieszania, mówiłem, że nic mi nie jest - warknął tak ostro, że Jo prawie podskoczyła z wrażenia. Zirykowała się.

- Może jeszcze mam przeproszać, że żyję? Zacisnął usta, przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

- Nie lubię, gdy mi się przypomina, że nie jestem dość sprawny.

- Nie lubisz? To mało powiedziane - sprostowała. - Robisz się wtedy zły i wyjątkowo niemiły.

- To może jeszcze powiesz, że należą ci się przeprosiny? - spytał z rozbawieniem w głosie.

Jo nie było do śmiechu. Z godnością uniosła brodę.

- Owszem. I to nie po raz pierwszy.

Tym razem roześmiał się już otwarcie. Odstawił pusty kubek na podłogę i podniósł się z trudem.

- W takim razie lepiej pójdę, bo znowu coś powiem i obrazisz się na dobre.

- Wychodzi bez przeprosin - mruknęła Jo jakby sama do siebie. - Ciekawe, skąd wiedziałam, że tak będzie?

Patrick dokuśtykał do drzwi, odwrócił się i ujrzał niemy wyrzut w oczach Jo.

- O rany, nie patrz tak! Dobrze, przepraszam. I za poprzednie też przepraszam. I nie chcę cię wyrzucić, mówię jasno, że możesz zostać.

Ale to jej nie wystarczyło.

- Obiecuj jeszcze, że jutro nie będziesz sam prowadził.

- Dam ci dobrą radę, mała. Nie należy przeciągać struny. Łypnęła na niego ponuro i nic nie odpowiedziała.

- Ty jednak jesteś bardzo młoda... - Westchnął. - Ja też kiedyś byłem i też myślałem, że mogę zmienić cały świat... Ale to było bardzo dawno temu. - Wyciągnął rękę. - Chodź do mnie.

Posłuchała, nie zastanawiając się, co robi, i wsunęła dłoń w jego rękę. Miał starannie utrzymane silne dłonie o długich palcach, zaś Jo delikatne, lecz pełne zadrapań i miejscami ciemne od smaru, który wżarł się w skórę. Patrick przesunął kciukiem wzdłuż świeżego zadrapania.

- Muszę uważać, żebyś więcej nie musiała pakować się przeze mnie w kłopoty - rzekł w zamyśleniu, a potem uniósł jej dłoń do ust i pocałował.

Jo zaczerwieniła się po nasadę włosów, wyszarpnęła rękę. Oczy Patricka pociemniały, nachylił się ku Jo, która nagle poczuła się kompletnie bezbronna, a to ją przeraziło.

- Nie - powiedziała zduszonym głosem. Wahał się przez chwilę, a potem wyprostował.

- Masz rację, powinienem już iść. - Spojrzał na zegarek. - Muszę jeszcze wykonać parę telefonów.

Wyszedł, a Jo odetchnęła. U szczytu schodów zatrzymał się jednak i obejrzał.

- Zostajesz tu sama, a zamków jeszcze nie ma... Na pewno nic ci nie będzie?

- Do tej pory było tu bardzo spokojnie.

- Rozumiem. Po moim wyjściu znowu będzie, tak? - Nie czekając na odpowiedź, zaczął schodzić.

Jo wyszła na podest, by odprowadzić Patricka wzrokiem, miała też ochotę zawołać za nim. Wraz z jego odejściem poczuła ulgę, ale też i dziwną pustkę. Co się z nią działo? To było do niej zupełnie niepodobne!

Zszedłszy na dół, Patrick uniósł głowę.

- Nikt nie będzie ci tu przeszkadzał. Ja też nie.

Jo się zawahała. Mogła powiedzieć, że wcale jej nie przeszkadzał, mogła z powrotem zaprosić go na górę.

- Kiedy założymy zamki, tylko ty będziesz miała do nich klucze. Więcej nie przyjdę do ciebie na górę. Chyba że sama mnie zaprosisz.

Aż zeszywniała, przestraszona, że czytał w jej myślach, lecz Patrick źle zrozumiał jej reakcję.

- Hmm, nie powiem, żebym czuł się skomplementowany... Ale kto wie, czy w którymś momencie nie zechcesz zmienić zdania?

Przez chwilę panowało pełne napięcia milczenie, potem Patrick zaśmiał się nieco dziwnie i lekko wzruszył ramionami.

- Cóż, pewnie masz rację. W każdym razie od tej pory wybór należy do ciebie.

Wyszedł, ona zaś wróciła do pokoju, który nagle przestał jej się wydawać tak bezpieczny, jak przedtem. Czuła się trochę jak zwierzę, do którego kryjówki wtargnął ktoś obcy i zostawił po sobie... swój zapach. Jej pościel pachniała wodą kolońską Patricka.

Tej nocy Jo miała bardzo niespokojne sny.

Patrick wracał na zamek, wściekły na siebie jak diabli. Zadziałał za szybko, niepotrzebnie pocałował ją w rękę, tylko ją tym przestraszył. Dziewczyna była naprawdę płochliwa. Chociaż nie, to nie był strach... Jo Almond nie należała do bojaźliwych osób. Ona po prostu chciała, by wyszedł, zachowywała się tak, jakby zwietrzyła niebezpieczeństwo - ale on wcale nie chciał budzić w niej podobnych uczuć.

Cholera, postępował z nią, jakby zupełnie już stracił wyczucie! Chyba wyszedłem z wprawy, pomyślał, starając się zbyć sprawę żartem, ale to nie pomogło, gdyż potem przysłała inna myśl, zupełnie nieśmieszna.

Był dla niej za stary.

Jo źle spała. Przewracała się z boku na bok, było jej straszliwie gorąco. Zasnęła dopiero nad ranem, ale i tak obudziła się jakieś dwie godziny później.

Przykrycie leżało na podłodze, prześcieradło było całe poskręcane, zaś ona przyciskała do ciała poduszkę, jakby to był kochanek...

Wstała, ubrała się i wyszła do pustego ogrodu, by zaczerpnąć świeżego powietrza i ochłonać. Śpiewały ptaki, na trawie i płatkach kwiatów widniała rosa. Jo przechadzała się, z lubością wciągając w płuca przyjemne poranne powietrze, chłodne i lekkie jak łyk szampana.

Nagle stanęła jak wryta, gdy spod pergoli obrośniętej pięknymi różami wyłoniła się jakaś postać.

- Dzień dobry - odezwał się lekko kpiący głos. - Ty też?

Łypnęła na Patricka.

- Co ja też?

- Nie możesz spać.

- W nocy było bardzo gorąco. Kąciki jego ust drgnęły podejrzenie.

- Naprawdę?

- Tak - ucięła.

- Jesteś pewna, że to z powodu temperatury?

Miała ochotę go zabić, ponieważ przypomniała sobie zapach na swojej poduszce.

- Jak najbardziej. - Posłała mu ostrzegawcze spojrzenie, wyraźnie zabraniając dalszego drażenia tematu.

- Cóż, skoro tak mówisz...

- Od kilku dni jest gorąco. Dzisiaj też będzie.

- Pewnie masz rację. Skoro już o tym mówimy, to powinnaś kupić sobie jakieś letnie ubrania. - Sięgnął do kieszeni, wyjął z niej kopertę. - Proszę.

Spojrzała na nią jak na skorpioną.

- Co to jest?

- Pieniądze.

- Nie chcę twoich pieniędzy.

- Nie ma nic dziwnego w tym, że pracownik oprócz wynagrodzenia otrzymuje też dodatki. Przyjechałaś z kraju, gdzie pogoda jest zupełnie inna, więc potrzebujesz nowych ubrań.

- Masz trochę racji - przyznała niechętnie. - Kiedy wyjeżdżałam z Anglii, padał grad...

- Sama więc widzisz.

- Ale...

- Żadnych „ale”. - Spojrzał na nią zaintrygowany. - Nie chciałabyś dla odmiany kupić sobie czegoś ładnego? Czegoś naprawdę letniego?

Wiedziała, że ładne letnie ubrania oznaczają skąpe stroje i odsłanianie ciała. Tak mogła się ubierać śliczna i opalona Anne Marie, która nawet w ciąży wyglądała cudownie, chodząc w głęboko wyciętych bluzeczkach i krótkich powiewnych spódniczkach. Jo nigdy nie będzie mogła się tak ubrać, przecież była strachem na wróble.

Popatrzyła na Patricka, który dalej wyciągał do niej rękę z kopertą i uśmiechał się tak, jakby był pewien, że jak zwykle postawi na swoim, gdyż Jo nie zdoła się oprzeć.

- Nie! - wrzasnęła, odtrąciła jego rękę i uciekła.

Zaszyła się w szopie, gdzie przez dwie godziny grzebała pod maską bugatti. Kiedy później poszła do kuchni na poranną kawę, koperta leżała na stole.

- Patrick zostawił to dla ciebie - poinformowała gospodyni. - Mówi, że potrzebujesz nowych ubrań,

- Wystarczy mi to, co mam.

- On jest innego zdania.

Dla Jo stało się jasne, że pani Morrison poprze Patricka, choćby ten zażyczył sobie, żeby jego mechanik chodził w różowych tiulach i z kwiatami we włosach.

- Masz wziąć samochód, pojechać do Lacombe, kupić sobie jakąś spódnicę i iść do fryzjera. Tylko wróć przed pierwszą, bo on musi być dziś w Tuluzie, a chce się z tobą zobaczyć przed wyjazdem. Aha, podobno nalegałaś, żeby Patrick sam nie prowadził ze względu na nogę, więc pewnie zawiezie go któryś z braci Picard. - Uśmiechnęła się szeroko do Jo. - Dobra robota, dziewczyno!

Jo nie miała wyjścia, musiała spełnić polecenie Patricka. W Lacombe kupiła najskromniejszą spódnicę, jaką znalazła, chociaż i tak wydawała jej się za krótka, a potem poszła do fryzjerki. Ta najpierw załamała ręce na widok włosów krzywo podciętych przez Jo nożyczkami do paznokci, później zaś czym prędzej wzięła się do dzieła. W rezultacie powstała krótka modna fryzurka.

- Teraz już nikt nie wzięłby cię za chłopaka - stwierdziła pani Morrison po jej powrocie.

- Wyglądam... dziewczęco - stwierdziła Jo, robiąc miny do lustra, na poły zdegustowana, a na poły zaintrygowana.

- Przede wszystkim nie wyglądasz już jak dzikuska - wtrącił Patrick, wchodząc do kuchni.

Zbliżył się do Jo, ujął ją pod brodę długimi palcami i obrócił jej głowę w prawo i w lewo. Zupełnie jakbym była rzeczą do kupienia, pomyślała z oburzeniem.

- Bardzo ładnie - ocenił.

- Może jeszcze ma mi się zrobić miło? - wycedziła.

- Jeszcze nie teraz...

- Czy ty ze mną flirtujesz? Roześmiał się.

- Tylko próbuję. Jak mi idzie? - Znowu obrócił twarz Jo w bok i podziwiał jej profil.

Morrisonowie wymienili zaskoczone spojrzenia, lecz Jo tego nie zauważyła. Serce biło jej mocno, do tego była wściekła. Wyszarpnęła się Patrickowi i cofnęła.

- Kiepsko. A co, chcesz mnie? - rzuciła drwiąco.

A przynajmniej w założeniu miało to zabrzmieć drwiąco, w rzeczywistości zaś ton głosu Jo był cokolwiek dwuznaczny. Zaczerwieniła się po same uszy, co Patrick obserwował z dużym zadowoleniem.

- To zależy - odparł gładko.

George Morrison aż gwizdnął bezgłośnie.

- George, chodź, pokażesz mi, którą sałatę mam wyciąć na kolację - zakomenderowała jego żona.

Jo nawet nie zauważyła, że Morrisonowie wycofali się z kuchni.

- Od czego?

- Od tego, jak dobrze prowadzisz.

Tu była na pewniejszym gruncie, więc dumnie uniosła brodę.

- Mogę prowadzić wszystko, co jeździ.

- W takim razie chcę cię... - zrobił maleńką pauzę i dokończył: - ...prosić, żeby zawiozła mnie do Tuluzy.

Mercedes, czarny kabriolet z opuszczonym dachem, czekał na zalanym słońcem dziedzińcu. Pod Jo na moment ugięły się nogi, gdyż mimo przechwałek nie miała pojęcia, na ile sprawnie sobie poradzi. W życiu nie prowadziła takiego wozu!

Patrick włożył ciemne okulary i tak szarmanckim gestem otworzył przed Jo drzwiczki od strony kierowcy, jakby była królową. To ją speszyło, więc z tego zakłopotania wsiadła dość niezdarnie, zrzucając na podłogę mapę. Patrick nachylił się i podał jej kluczyki. Znalazł się przy tym tak blisko, że nie tylko doleciał ją znajomy zapach wody kolońskiej, ale też przez chwilę czuła na policzku jego oddech. Czuła też emanujące z jego ciała ciepło, a od tego wszystkiego aż zakręciło jej się w głowie.

Niestety, nie widziała ukrytych za ciemnymi szklami oczu, więc nie wiedziała, czy na nim ta chwila również zrobiła wrażenie.

Wziął z siedzenia pasażera słomkową panamę, włożył, usiadł obok Jo, obrzucił krytycznym spojrzeniem jej gołą głowę.

- Musisz sobie kupić kapelusz.

Nie słuchała go, bez reszty skupiona na tym, żeby się nie zbłąźnić. Niepotrzebnie się jednak martwiła, ponieważ mercedes niemalże prowadził się sam, tak wspaniale się nim jechało. Do tego Patrick okazał się znakomitym pasażerem, gdyż odpowiednio wcześniej dawał jasne wskazówki, gdzie należy skrócić, nie komentował sposobu, w jaki Jo prowadzi, więc kiedy dotarli do celu, czyli eleganckiego budynku prywatnego ośrodka terapii ortopedycznej na przedmieściach Tuluzy, pogratulowała Patrickowi.

- Dzięki. Staram się, jak mogę - odparł.

Stała na parkingu, zaciągnęła ręczny hamulec, wrzuciła luz i wyłączyła silnik.

- Ha, udało mi się!

- A miałaś jakieś wątpliwości? Przecież podobno umiesz prowadzić wszystko, co jeździ.

- Zawsze jeździłam starymi gruchotami, nigdy czymś takim. Dopiero teraz mogę się przyznać, że trochę miałam pietra.

- Nie dałaś po sobie nic poznać. - Zdjął okulary, jego oczy patrzyły niemal z czułością. - Jesteś wyjątkowa, Jo Almond. Wiesz o tym?

Skwitowała to śmiechem, lecz poczuła miłe ciepło w sercu.

- Idę na jakąś godzinę na terapię - rzekł z westchnieniem, jakby wcale nie chciał wysiadać z samochodu. - Centrum miasta jest w tamtą stronę. - Wskazał. - Na pewno znajdziesz tam lepiej zaopatrzone sklepy niż w Lacombe.

Jo jednak wolała iść na spacer po okolicy, napawając się słońcem i poczuciem, że czeka na kogoś i że ma go zabrać do domu. Jakbyśmy byli rodziną, pomyślała nagle. To jej przypomniało, że od dwóch dni nie rozmawiała z Markiem, znalazła więc kawiarenkę, w której był aparat telefoniczny i zadzwoniła do Sauveterre'ów. Mark był wesół jak szczygieł, opowiadał, jak

nauczył się doić kozy i jak pływa w jeziorze, gdzie ćwiczą też chłopcy z lokalnego klubu pływackiego. Przyjęli go na próbę, bo uznali, że jest dobry. Jo prawie popłakała się ze wzruszenia, słysząc tę entuzjastyczną relację, gdyż Mark jeszcze nigdy nie był równie szczęśliwy.

Potem słuchawkę przejął Jacques.

- Jo, skoro on tak koniecznie chce pływać, i to wycynowo, powinien mieć zgodę swoich opiekunów. Zadzwoń do pani Grey.

Jo aż zmroziło.

- Nie!

- Zrozum, prędzej czy później musimy to zrobić. Nikt nie będzie go zmuszał do powrotu, skoro tam mieszka ten okropny brutal, ale jego ciocia ma prawo wiedzieć, że Mark jest bezpieczny.

- Ona jest jeszcze gorsza niż ten pijak - ucięła ostro Jo. Westchnął.

- Porozmawiamy o tym później. Kiedy do nas przyjedziesz?

- Nie mam pojęcia. Mój szef właśnie wrócił z zagranicy i nie rozmawialiśmy jeszcze, kiedy mogę wziąć wolny dzień.

Jacques, obiecaj mi, że nie zawiadomisz Carol, dopóki się nie zobaczymy.

Obiecał, choć z dużym ociąganiem. Jo ze zdenerwowania aż zabłądziła w drodze powrotnej, więc się spóźniła, lecz Patrick nie czekał na nią ani na parking, ani w holu. Spytała o niego recepcjonistkę, która poinformowała, że pan Burns zgodnie z zaleceniem doktora Lamartine'a zostanie w klinice na noc. Jo z trudem stłumiła uśmiech.

- Myślę, że pacjent będzie miał inne zdanie w tej kwestii.

Recepcjonistka zmierzyła Jo nieprzychylnym spojrzeniem, po czym wygłosiła krótką lecz dobitną przemowę, z której wynikało, że słowa doktora Lamartine'a są święte, zalecenia niepodważalne, a wszystko jest podyktowane wyłącznie troską o dobro pacjentów. Dlatego też nikt, ale to absolutnie nikt nigdy mu się nie sprzeciwia. Prawie jakby był Panem Bogiem, pomyślała Jo.

- Niemniej jednak poczekam tu na pana Burnsa - oświadczyła.

Dziesięć minut później rozsunęły się drzwi windy i wyszedł z niej Patrick, utykając. Towarzyszyły mu dwie żywo gestykujące osoby. Mężczyzna musiał być samym Panem Bogiem, to jest doktorem Lamartine'em, sądząc po wiernopoddającym wzroku recepcjonistki. Był schludnym mężczyzną średniego wzrostu, o siwej brodzie i włosach.

- Mój drogi Patricku, chyba postradałeś zmysły!

- Wiem, co robię.

- Nie wygląda na to. Opóźniasz swój powrót do zdrowia, wbrew moim zaleceniom nie ćwiczysz regularnie. Potrzebna ci intensywne terapia, więc powinieneś tu zostać. Chyba chcesz wrócić do pracy, prawda?

- Pracować mogę w domu, ale tutaj nie, bo nie mam tu chwili spokoju, co chwila ktoś mi przeszkadza.

- Przeszkadza? Przecież wszyscy tutaj cię uwielbiają!

- Właśnie - skwitował cierpko Patrick.

- Jesteś niewdzięcznym draniem i niepoprawnym podrywaczem - oświadczył doktor Lamartine, wybuchając śmiechem.

- Zawróciłeś w głowie wszystkim moim pielęgniarcom.

- Wcale nie ja, to magia telewizji.

- Patrick, kochanie, chyba nie postępujesz zbyt rozsądnie - odezwał się niski, zmysłowy głos.

Jo zeszywniała.

Kochanie?

Kochanie?!

Głos należał do olśniewającej kobiety z burzą rudych włosów i nieskazitelną kremową cerą. Była ubrana w czarną sukienkę z miodowymi wypustkami i wyglądała, jakby wyszła prosto z jakiegoś filmu o życiu wyższych sfer. Jo pierwszy raz miała przed sobą luksusową kobietę, zrobioną od stóp do głów, więc przyjrzała jej się uważnie. Jest jak dzieło sztuki, pomyślała. Samo

wykonanie takiego makijażu, którego niby nie widać, a który dawał efekt idealnie gładkiej skóry i wielkich oczu, musiało trwać całe godziny.

I to oszałamiające zjawisko zwracało się do Patricka per „kochanie”...

Mimo to nie wyglądał na zachwyconego.

- Isabelle, nie zaczynaj znowu. Na zamku mam wszystko, czego mi trzeba.

Jo wydało się, że w tym momencie zerknął na nią i mrugnął, ale trwało to przez ułamek sekundy, więc nie była pewna, czy jej się nie przywidziało.

- Odwiozę cię, musisz się oszczędzać - oświadczyła Isabelle. - Specjalnie wzięłam mój samochód. Mercedesa możemy odebrać później.

Zabrzmiało to tak, jakby wracanie „później” po wóz któregoś z nich nie było dla nich czymś nowym.

- Nie jestem idiotą. Przywiózł mnie kierowca. - I wskazał na Jo.

Isabelle i doktor Lamartine spojrzeli na nią, zaś na ich twarzach w różnym stopniu odmalowało się zdumienie, powątpiewanie i niezadowolenie.

- Kochanie, co to za nonsensy? To dziecko ma być twoim szoferem?

- Owszem, zatrudniłem ją na stałe, żeby zajmowała się samochodami.

- Mówiłem. Niepoprawny podrywacz - skwitował z rosnącym rozbawieniem doktor Lamartine.

Isabelle bynajmniej nie było do śmiechu.

- Co? Ona dogląda tych pięknych zabytkowych wozów Godfreya? I mieszka na zamku?

Jo już miała sprostować to drugie, lecz Patrick uciszył ją spojrzeniem, więc zamknęła usta.

- Lubię, gdy moi ludzie są pod ręką, nie mogą wtedy spóźnić się do pracy, bo nie mają żadnych wymówek. Czasem nawet przychodzą do niej wcześniej, na przykład gdy nie mogą spać.

Doktor Lamartine wysoko uniósł brwi, zaś Isabelle zmarszczyła swoje.

- Na wszelki wypadek pojedę za wami - świadczyła zdecydowanie. - Nie wybaczyłabym sobie, gdyby stało się coś złego.

- Zmienisz nam koło, jak złapiemy gumę?

Jo miała ochotę zachichotać na widok miny Isabelle, która jednak szybko się opanowała i stanęła przed Patrickiem.

- Kochanie...

Nachylił się i szybko ucałował oba wyperfumowane policzki.

- Bardzo miło, że przyszedł. Zupełnie niepotrzebnie, co prawda, ale to miłe z twojej strony.

Jo aż się wzdrygnęła i niemal zrobiło jej się żal Isabelle, ta jednak zachowywała się tak, jakby nie rozumiała, że dostała kosza. Położyła wymanikiowaną dłoń na piersi Patricka.

- Niedługo przyjadę - obiecała, patrząc mu głęboko w oczy.

Zdjął jej dłoń ze swojej piersi.

- Tylko najpierw zadzwoń, żeby się upewnić, czy ktoś jest w domu.

Ja zapadłabym się pod ziemię ze wstydu, pomyślała Jo. Ona tak, ale nie Isabelle. Ruda piękność nawet jeszcze posłała Patrickowi całusa, gdy oparł się ciężko na ramieniu Jo i pokuśtykał do samochodu. Pomogła mu wsiąść, rozumiejąc, że to przedstawienie na użytek Isabelle. Ta jeszcze pomachała na pożegnanie, figlarnie przebierając palcami. Jo z furią wrzuciła bieg i ruszyła z kopyta.

- Ani słowa na ten temat - ostrzegł Patrick.

- Mam nie mówić, że jesteś głupi? Dobrze.

Zbiła go z tropu.

- Co?

- Skoro mam się nie odzywać, to czemu pytasz? Przecież i tak nie chcesz słuchać prawdy.

- O czym ty mówisz?

- Tylko idiota wydaje kasę na kosztowną terapię, a potem nie ćwiczy.

- Ach, o to chodzi... Chyba masz sporo racji, przyznaję. Myślałem, że zmyjesz mi głowę za to, jak potraktowałem Isabelle. Widziałem twoją reakcję. W porządku, mogłem to zrobić delikatniej. Ale nikt jej nie prosił, żeby tam przyjeżdżała! Nie znoszę, kiedy ktoś się nade mną trzęsie.

- Nigdy bym nie zgadła...

Parsknął krótkim śmiechem, ale zaraz potem znowu zacisnął usta.

- Problem z Isabelle polega na tym, że ona zachowuje się jak wierna ukochana powracającego bohatera. Tyle że ja nie jestem zainteresowany.

Ta brutalna szczerość zszokowała Jo, która nic nie powiedziała, lecz musiała się czymś zdradzić, gdyż Patrick dodał:

- Wiem, dżentelmen nie mówi takich rzeczy. Ale ja nie jestem dżentelmenem. - Odchylił głowę na oparcie, przymknął oczy. - I nigdy go nie udaję.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jechali w milczeniu. Patrick kątem oka obserwował Jo i coraz bardziej pragnął dotknąć jej policzka, założyć jej za ucho rozwiane wiatrem włosy. Gdyby to zrobił, jak by zareagowała? Raczej nie tak, jak by tego chciał. Ewidentnie jego słynny, podobno nieodparty urok w jej przypadku jakoś nie działał. I dobrze mi tak, pomyślał.

Nie, wcale nie było mu z tym dobrze, przeciwnie.

Stary, aleś ty próżny, zganił się w myślach. Nie możesz oczekiwać, że zauroczysz wszystkie babki na świecie. Ale ja nie chcę wszystkich babek, odpowiedział sam sobie. Chcę dotknąć Jo Almond. Pocałować ją. Zaskoczyć ją czymś. Sprawić, żeby się roześmiała. Kochać się z nią.

Gwałtownie wciągnął powietrze i poruszył się na fotelu. Jo na moment oderwała wzrok od drogi i zerknęła na niego.

- Za szybko?

- Nie.

- Ale skrzywiłeś się.

- Noga dała o sobie znać. Nic poważnego. Skąd tak dobrze znasz się na samochodach?

- W szkole były różne dodatkowe zajęcia. Ciotka uznała, że powinnam mieć konkretny fach w ręku, powiedziała, że na fryzjerkę jestem nie dość ładna i zapisała mnie na zajęcia z techniki motoryzacyjnej. Na szczęście nie wiedziała, że właśnie tego chciałam, inaczej nie postąpiłaby tak.

Zostało to wypowiedziane bardzo spokojnym głosem, lecz Patrick był zbyt dobrym reporterem, by nie wychwycić w nim ukrytych emocji i by nie dostrzec, jak dłonie Jo zaciskają się na kierownicy. Nie dziwił się. On sam miał ochotę zdrowo komuś przyłożyć.

- Nie dość ładna na fryzjerkę? Co to za bzdura? Nie odpowiedziała, więc spytał:

- A chciałaś być fryzjerką?

Parsknęła śmiechem i rozluźniła się nieco.

- Ja? Chyba żartujesz!

- Kim więc chciałaś być? Zerknęła na niego z ukosa.

- Będiesz się śmiała.

- Mów. Przekonamy się.

- Chciałam się uczyć łaciny. Kompletnie go zaskoczyła.

- Łaciny?!

- Tak. I historii. I języków obcych. I chciałam się uczyć o dramatach teatralnych, i... och, chciałam się dowiedzieć wszystkiego o tylu rzeczach! Ale ciotka uznała, że dobre wykształcenie jest ponad mój stan.

- Ta kobieta w ogóle nie powinna mieć żadnych dzieci pod swoją opieką - zawyrokował.

- O ile da się to nazwać opieką... Ona powtarzała, że płacą jej za zbieranie cudzych śmieci, czyli niechcianych dzieci. Koniec cytatu.

Zszokowany, wyprostował się gwałtownie.

- Skąd wiesz, że rodzice cię nie chcieli?

Wzruszyła ramionami.

- Przecież się mnie pozbyli.

- Ale powody mogły być bardzo różne, na przykład bieda, choroba, jakiś osobisty dramat... Rozmawiałaś kiedyś z nimi? Pytałaś ich o to?

- Nie widziałam ich i nic o nich nie wiem.

- Nie próbowałaś ich szukać?

- Nie.

- Są szanse na odnalezienie kogoś, jeśli zna się choć jeden konkret.

Almond to twoje prawdziwe nazwisko czy zostałam adoptowana?

Jo aż zadrżała na tę myśl

- Nie, na szczęście nie zostałam.

- Czyli nazwisko masz po rodzicach. Zostawili ci coś jeszcze? Jo skreśliła z głównej drogi w boczną, potem obrzuciła Patricka pełnym politowania spojrzeniem.

- Na przykład charakterystyczne znamię i pierścień z wrytym na nim tajemniczym znakiem? Nic z tych rzeczy. Mam świadectwo urodzenia, ojciec nieznany. I dziecinną książeczkę.

- To już coś na początek. Znam ludzi, którzy zajmują się podobnymi sprawami, mogliby ci pomóc odnaleźć matkę.

- Nie chciała mnie. A kiedy ktoś mnie nie chce, to ja jego też - ucięła zimno.

Popatrzył na jej zaciętą minę.

- W porządku, przecież nikt cię nie zmusi do robienia czegoś, czego nie chcesz.

- Akurat ty jesteś bardzo dobry w łamaniu czyjejś woli.

- Ja? - zdumiał się. - Ja bardzo cenię ludzi, którzy wiedzą, czego chcą i trwają przy swoim.

- To tylko potwierdza, że takich ludzi musiało być niewielu. Cenisz ich, bo nie dali ci się sterroryzować.

- Ja terroryzuję ludzi? Ja łamię ich wolę? Masz o mnie jeszcze gorsze zdanie, niż myślałem.

- To powiem inaczej. Po prostu postępujesz tak, że ludziom bardzo trudno jest ci nie ulec.

- Bez przesady. Tobie jakoś się udało.

- A skąd! Robię wszystko, przy czym się uprzesz, przepraszam Morrisonów, latam do fryzjera, zgadzam się na zamki w drzwiach...

- Przypomnij sobie jednak, co było przy rzece.

Zaczerwieniła się, drgnęła, mercedesem zarzuciło. Patrick chwycił ręką za kierownicę, przykrywając mocną, opaloną dłońią delikatne palce Jo.

- To nie była uczciwa zagrywka - rzekła bez tchu.

- Nie - przyznał z rozbawieniem. Uścisnął jej dłoń i puścił.
- Masz rację, nie jesteś dżentelmenem.
- Miło mi, że pamiętasz - wycedził, nagle zły na siebie i na nią.

Wcale nie chciał przerzucać się z nią słówkami, nie chciał toczyć żadnej gry. Pragnął powiedzieć: „Stań i porozmawiaj ze mną. Powiedz, że ty też to czujesz”. I w tym momencie Jo go zaskoczyła.

- Wtedy nad rzeką przeżyłam... szok. Nie byłam na to przygotowana. Przez chwilę milczał, porażony taką szczerością, potem zaśmiał się cicho.
- A gdybym powiedział, że szok był obustronny?

Do licha, czemu się roześmiałem, pomyślał. Ona pewnie uzna, że zwyczajnie sobie kpię.

Tym razem Jo nie drgnęła i samochód nie zboczył ani o milimetr.

- Odparłabym, że to mało prawdopodobne - stwierdziła spokojnie.
- Skąd możesz wiedzieć?
- Szok powoduje, że człowiek traci kontrolę. Ty nie tracisz jej ani na chwilę.

Tak, ten śmiech to był poważny błąd.

- Naprawdę jesteś bardzo mądra jak na swój wiek.

Nie odpowiedziała, skupiła się na drodze. Kiedy dojechała do rozwidlenia, Patrick otrząsnął się z ponurego zamyślenia, w które popadł i wskazał węższą z dróg.

- W lewo i pod górę. Pojedziemy skrótem. Obiecuję coś miłego po drodze. Jak dotrzesz na szczyt pagórka, zjedź z drogi i zatrzymaj się.

- Po co? - spytała podejrzliwie.

- Zobaczysz...

Wyczuł, że ona znowu wietrzy niebezpieczeństwo, i zirytował się, gdyż nie chciał, by traktowała go jak jakieś zagrożenie.

- Nie obawiaj się, nie zamierzam korzystać z okazji - oświadczył szorstko.
- Po prostu stamtąd jest piękny widok.

Pojechali wijącą się drogą, obsadzoną kasztanowcami, tak wąską, że gałęzie splatały się nad nią, tworząc chłodną, zieloną nawę. Kiedy wjechali na samą górę, Jo zatrzymała wóz na niedużym parkingu w cieniu drzew i zgasila silnik. Przed sobą mieli łagodnie opadające wzgórza, dolinę przeciętą niewielką rzeką, na której drugim brzegu wznosił się zamek, oświetlony promieniami zachodzącego słońca.

Jo bezwiednie poszukała wzrokiem rycerzy na koniach i wychylających się z okien dam w wysokich i spiczastych nakryciach głowy z powiewającymi welonami.

- Och, to nasz zamek? To znaczy twój. Piękny... Brakuje tylko powiewających chorągwi.

- Nasz - zgodził się cicho. - Jak tylko znajdę jakąś chorągiew, będziesz mogła ją wywiesić - obiecał.

Ponieważ nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, rzuciła pierwsze, co przyszło jej na myśl:

- Nie miałam pojęcia, że z tej strony też jest rzeka.

- To ta sama, w której pływałaś. Robi pętlę wokół zamku. Zobacz, tam jest stary drewniany most, który prowadzi do pierwotnej bramy. Właśnie tamtędy pojedziemy.

Siedzieli przez jakiś czas, chłonąc widok, wreszcie Patrick poruszył się, a Jo wzięła to za znak, że pora ruszać dalej. Zjechała do doliny, nieco niepewnie przejechała po skrzypiącym starym drewnianym moście i zatrzymała się przed kutą bramą, podobną do głównej, lecz mniejszą i otwieraną w tradycyjny sposób kluczem, a nie elektronicznie. Patrick wysiadł, wyjął z kieszeni klucz, otworzył zamek i pchnął bramę, której skrzydła odsunęły się bezszelestnie. Jo przejechała za ogrodzenie i obejrzała się na połyskliwą rzekę, wierzby nad nią i zielone łąki, usiane kwiatami. Patrick zamknął bramę.

- Chodź, usiądziemy w cieniu nad wodą - zaproponował, wskazując małą furtkę w murze.

Serce zabiło jej mocniej.

- Ale... pani Morrison pewnie na nas czeka...

Chciała i równocześnie nie chciała z nim iść, gdyż bała się, że to może oznaczać krok w nieznaną.

Patrick dotknął jej policzka, co wywarło na Jo takie wrażenie, jakby poraził ją prądem.

- Jesteś rozpalona. Nic dziwnego, cały dzień na słońcu bez kapelusza... Chodź, ochłodzisz się. Tu jest takie jedno miłe miejsce.

I Jo, która nigdy nie pakowała się w żadną sytuację, jeśli nie wiedziała, jak się z niej wycofać, wbrew swoim zasadom powiedziała:

- Dobrze.

Patrick nachylił się, zgasił silnik, wyjął kluczyki ze stacyjki, a jego ręka przy tym niemal musnęła pierś Jo, która zamarła, nie oddychając przez chwilę. Patrick bez słowa otworzył drzwiczki. Wsiadła niczym zahipnotyzowana. Przeszli przez most. Jo cały czas spodziewała się, że Patrick jej dotknie, więc szła sztywno, cała spięta. Zauważył to.

- Spokojnie, nie czuję się na siłach, żeby się na ciebie rzucić, więc nie masz się czego obawiać.

- Nie obawiam się - oświadczyła dumnie. - Jeśli nie uda mi się uciec, walczę. Skutecznie, bo niehonorowo.

Wybuchnął śmiechem.

- Tak, to do ciebie pasuje - rzekł z uznaniem w głosie.

Zaprowadził ją w zacienione miejsce nad wodą, gdzie pod starą wierzbą stała mała żelazna ławeczka. Patrick usiadł na niej i wyciągnął chorą nogę przed siebie, zaś Jo usiadła po turecku na mchu. Woda pluskała łagodnie o brzeg, w powietrzu unosił się zapach traw i ziół.

- Cudowne miejsce - oświadczyła Jo,

- Tak. Przychodziłem tutaj czytać Tolkiena, kiedy przyjeżdżałem na wakacje.

- Opowiedz mi o swojej rodzinie - poprosiła.

- Najpierw sprecyzuj, co to znaczy rodzina.

- Słucham?

- Ty rzeczywiście nic o mnie nie wiesz... Otóż nie jest żadną tajemnicą, że moja matka jest, w pewnym sensie, zwierzęciem politycznym, gdyż od czasu moich narodzin była kolejno związana z czterema politykami. Od pewnego momentu nie mogłem wejść do gmachu senatu w Waszyngtonie, żeby nie spotkać co najmniej dwóch ojczymów. Mieszkałem ciągle w nowych miejscach, bo dom był tam, gdzie aktualny ojczym właśnie prowadził kampanię wyborczą. To mi zresztą potem pomogło w pracy reportera, ponieważ przywykłem do częstych zmian miejsca i zabierania ze sobą tylko tego, co najważniejsze. Ten zamek jest tak naprawdę moim pierwszym domem.

- Czemu wybrałaś Francję?

- Nie wybrałem, samo tak wyszło. Mój ojciec chrzestny traktował swoje obowiązki wobec mnie bardzo poważnie. Mówił, że ojczymów może być wielu, ale ojciec chrzestny jest tylko jeden na całe życie. Zapraszał mnie tu na każde wakacje, dużo czasu tu spędziłem. Kiedy umarł, zapisał mi wszystko.

- I zamieszkaż tu na stałe?

Jego twarz przybrała niezwykle poważny wyraz.

- Gdybyś mnie spytała o to jeszcze pół roku temu, zaprzeczyłbym zdecydowanie. Zamierzałem zrobić tu luksusowy hotel albo centrum konferencyjne z polami golfowymi, basenami, jazdą konna i podobnymi atrakcjami... Sama wiesz.

Te słowa uświadomiły jej ogromną przepaść między nimi. On tak przywykł do luksusów, że nie rozumiał, że ktoś inny nawet nie wyobraża sobie, jak podobne życie mogłoby wyglądać. No, chyba że przeczyta sobie o nim w kolorowym magazynie... Nic nie powiedziała, lecz nie musiała, gdyż Patrickowi wystarczył wyraz jej twarzy.

- Ale ze mnie idiota. Oczywiście, że nie wiesz.

Znowu odniosła wrażenie, że on czyta w jej myślach, więc szybko spytała:

- Cemu zmieniłeś zdanie?

Przez chwilę się wahał, czy odpowiedzieć.

- Bo być może niedługo będzie mi potrzebne miejsce dla rodziny.

Jo ogarnął niepokój. Czyżby zamierzał się żenić? Ale chyba nie z Isabelle, sądząc po ich dzisiejszym spotkaniu?

- Wszyscy mówią, że zwariowałem - ciągnął Patrick. - Ciekawe, jaka będzie twoja reakcja.

- Mów, przekonamy się - zacytowała jego własne słowa.

- Chcę zaadoptować dziecko.

Ogarnęła ją ulga. Nie żenił się!

- Zaadoptować? Cemu? A przede wszystkim kogo?

- Pierwsza osoba, która zadaje właściwe pytania. Żaden z moich sprytnych prawników ich nie zadał.

- Czy to znaczy, że ja nie jestem sprytna? Parsknął śmiechem.

- Nie dopraszaj się o komplementy. Czasem jesteś aż za sprytna.

Uśmiechnęła się.

- To kim jest to dziecko?

- To sierota. Nie ma domu ani żadnych krewnych, często głoduje, obecnie mieszka w górach w wiosce uchodźców. Ocalił mi życie.

- Jak to się stało?

- Miałem zrobić materiał w pewnym małym miasteczku, ale to była zasadzka. Usiadłem w kawiarence na środku rynku, mój operator nieopodal ustawił kamerę, a wtedy nagle wszyscy znikli, za to otworzono do nas ogień.

Jo odruchowo pożyła mu rękę na kolanie, jakby potrzebowała się upewnić, że on naprawdę siedzi przy niej, że nic mu nie jest. Przykrył jej dłoń swoją.

- Rzuciłem się na ziemię, zakrywając głowę rękami, ale byłem pewien, że już po mnie. I wtedy ten chłopiec, Pavli, wybiegł z jednego ze sklepów i usiadł przy mnie. Był jednym z nich, więc przerwali ogień, żeby nie zrobić mu krzywdy. Jego rodzice zginęli kilka tygodni wcześniej w bombardowaniu, wszyscy wiedzieli, że to sierota. I w ten sposób uratował mnie.

- Jaki on jest?

Niemal bezwiednie splótł palce z jej palcami.

- Tak naprawdę nie bardzo wiem. Porozumiewamy się łamanym francuskim. Oczywiście jest bardzo odważny. I zaradny. Przewodzi grupie uchodźców, dorosłych ludzi. Pomogłem im przedostać się przez granicę. - Popatrzył na ich splecione palce. - Mam wobec niego dług wdzięczności.

- To prawda.

- Czyli ty nie myślisz, że zwariowałem, skoro chcę go zaadoptować? - spytał z nagłym ożywieniem.

- A czego chce Pavli? - zagadnęła ostrożnie Jo.

To pytanie spadło na niego jak grom z jasnego nieba. Puścił rękę Jo, wzburzył dłonią włosy.

- Nie wiem. Nigdy nie pytałem. Po prostu założyłem, że tak będzie dla niego lepiej. Tu będzie miał wygodniej, łatwiej, otworzą się przed nim możliwości, których nie ma tam.

- Czemu chcesz go tu sprowadzić? - spytała cicho. - Tylko dlatego, że uratował ci życie?

Milczał. Na jego twarzy odbiły się sprzeczne emocje.

- Z mojego doświadczenia wynika, że dziecko powinno mieszkać tam, gdzie czuje, że jest jego miejsce - ciągnęła. - Tam, gdzie jest wśród swoich. Reszta jest naprawdę mało istotna. Wpatrywał się w nią z napięciem.

- Mów dalej.

- Pavli pomógł nie tylko tobie, z tamtymi uchodźcami też łączy go szczególna więź. Większa niż z tobą, bo oni są „swoi”, a ty obcy. To oni są kimś w rodzaju jego rodziny. I co? Zaadoptujesz ich wszystkich?

- Oczywiście, że nie.

Wzruszyła ramionami, a gest był bardziej wymowny niż wszelkie słowa.

- Rozumiem... - rzekł powoli. - Teraz widzę, jak to może wyglądać z jego punktu widzenia. Ale skąd ty wiesz tyle o ludziach? I o tym, jak ważne jest miejsce, skoro żyłaś jak włóczęga? Czy doceniłaś jego wartość wtedy, gdy twój chłopak miał się gdzie zatrzymać, a ty musiałaś wędrować dalej?

Zdażyła już zapomnieć, że poprzedniego dnia nieopatrznie wyrwała jej się informacja o Marku.

- Nie, nauczyło mnie tego własne doświadczenie. I mojego przybranego brata.

- Bardzo jesteś z nim zżyta? Jo stała się czujna.

- Nie widujemy się zbyt często - odparła wymijająco.

- Czyli jesteś typem samotnika... Kolejna cecha, którą mamy wspólną. - Pochylił się i zajrzał jej głęboko w oczy, zaś Jo zamarła. - Żadne z nas nie ma nikogo naprawdę bliskiego, polega wyłącznie na sobie, trzyma resztę świata na dystans. Bratnie dusze, można powiedzieć - rzucił nieco prowokacyjnie. - Mówiłem ci, że mamy ze sobą więcej wspólnego, niż ci się wydaje.

- Ja nie widzę żadnych podobieństw - zaproponowała. - Ty jesteś bogaty i sławny.

- Nie aż taki sławny, skoro nie tylko nic o mnie nie wiedziałaś, ale nawet nigdy nie widziałaś mnie w telewizji.

- Bo ja rzadko oglądam tele... - Urwała, uświadomiwszy sobie, jak sprytnie ją podszedł. - Och! Skąd wiedziałaś?

- Stąd, że patrzysz na mnie jak na obcego.

- Nie rozumiem.

- Inni tak nie patrzą, bo widzieli mnie wiele razy w swoich domach, w swoich telewizorach, jestem u nich stałym gościem. Niektórym wydaje się wręcz, że mają przez to do mnie jakieś prawa, że w jakiś sposób należę do nich.

- W jego oczach pojawiła się niezwykła powaga. - Ale z tobą jest inaczej...

Zaschło jej w gardle z wrażenia. Z trudem oderwała wzrok od oczu Patricka i podniosła się.

- Czy nie powinniśmy już wracać?

- Czy bogactwo i sława naprawdę mają aż takie znaczenie? - spytał, ignorując jej słowa.

- Mają, ponieważ wiele zmieniają.

- Co zmieniają? Czy czułabyś do mnie coś innego, gdybym nie był bogaty?

Serce zatrzepotało jej w piersi.

- W ogóle nic do ciebie nie czuję! - rzuciła gniewnie. Zaśmiał się, nie wyglądał na urażonego.

- Chcesz powiedzieć, że czułabyś, gdybym był biedny? Oho, kolejna pułapka, pomyślała.

- Nie to miałam na myśli.

- Ale właśnie coś takiego powiedziałaś. Ludziom czasem wyrywają się takie zdania, które wiele o nich mówią.

Zacisnęła dłonie w pięści i zmrużyła oczy.

- Tak właśnie zarabiasz na życie, prawda? Zadręczasz ludzi pytaniami, aż zapędzisz ich w kozi róg.

- O, zapędziłem cię w kozi róg? - ucieszył się. Wbiła dłonie w kieszenie.

- Przestań. Wiem, że ciebie to bawi, ale to niesprawiedliwe.

Podniósł na nią wzrok. Stała plecami do zachodzącego słońca, które świeciło przez jej kasztanowe włosy, tworząc z nich świetlistą aureolę.

- Czemu niesprawiedliwe? - spytał leniwie, a jego głos zabrzmiał jak pomruk.

Jo przypomniała sobie tygrysa ze swojej książeczki. On też tak uwodzicielsko mruczał i też patrzył złocistymi oczami, a wszystkie zwierzęta w dżungli, zahipnotyzowane tym słodkim, rozkosznym mručeniem, szły prosto w jego łapy...

- Jesteś w tym za dobry! - jęknęła.

- W czym? - mruknął sugestywnym tonem.

- Przestań!

- Kiedy to takie przyjemne...

- A nie powinno ci to sprawiać takiej przyjemności, skoro nie jestem dla ciebie partnerką! - Wyraz jego oczu uświadomił jej, jak to mogło zabrzmieć, więc sprecyzowała pospiesznie: - Za mało wiem, nie mam twojej wiedzy i wykształcenia...

Zaczął się śmiać.

- ...ledwie skończyłam kiepską szkołę. Śmiech zamarł mu na ustach.

- Czy to zawoalowany sposób na przypomnienie mi, że jestem dla ciebie za stary?

Zdołał to oznajmić kpiącym tonem, lecz Jo zobaczyła w jego wzroku coś, co kazało jej powiedzieć:

- Według mnie istnieją tylko trzy przedziały wiekowe: dziecko, nastolatek i dorosły. Ja jestem dorosła, i to już od długiego czasu.

Ich spojrzenia się spotkały.

- Jesteś bardzo mądra. I dobra. Wyjątkowa z ciebie osoba, Jo Almond.

Myślała, że jej dotknie, nie uczynił tego jednak. Wstał i wrócili do samochodu. Na dziedzińcu zamkowym Jo zgrabnym łukiem podjechała pod same schody prowadzące do nabijanych ćwiekami drzwi.

- Bardzo elegancko - pochwalił Patrick. - Odtąd jesteś moim szoferem. - Nie mogąc się powstrzymać, wyciągnął rękę i dotknął jej włosów. - Listek ci się zaplątał... - wyjaśnił. - Pójdiesz ze mną na kolację?

Zawahała się.

- Nie mam nic, w czym mogłabym pójść do restauracji.
- A czyja to wina? Przecież mówiłem, żebyś sobie coś kupiła. Zjedźmy

więc tutaj.

- Nie chcę obrazić państwa Morrison.
- Ja też nie, ale nie rozumiem, o czym mówisz. Aż parsknęła.
- Nie? Jestem twoim pracownikiem, oni też, tylko znacznie dłużej niż ja.

Dodaj dwa do dwóch.

Uniósł dłonie obronnym gestem.

- W porządku, w porządku... Co w takim razie powiesz na piknik w ogrodzie różanym?

- No, może... Jego śmiech zabrzmiał nieco ironicznie.
- Zazwyczaj przyjmowano moje propozycje z większym entuzjazmem.

Nieźlą szkołę mi dajesz.

- Przyda ci się.
- W takim razie jesteś nie tylko moim mechanikiem i szoferem, ale także i nauczycielem. Podniosę ci więc wynagrodzenie. Kupisz sobie za nie olśniewającą kreację, a wtedy będę mógł zabrać cię do restauracji.

Łypnęła na niego.

- Wydaje ci się, że na wszystko masz odpowiedź, prawda?
- Aha - przyświadczył, nachylił się i nim Jo zdołała się zorientować, co on zamierza, pocałował ją w policzek. - Do zobaczenia wśród róż o wpół do dziewiątej. Tylko się nie spóźnij.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Dziewiętnaście!

Patrick z całej siły grzmotnął pięścią o ścianę sypialni. Jo miała dopiero dziewiętnaście lat i nie wolno mu było o tym zapomnieć. Owszem, była bardziej dojrzała niż wiele osób, które znał. Kobiety z jego pracy w porównaniu z nią wydawały mu się niepoważnymi, chichoczącymi podfruwajkami. Była odważna, silna, zaradna, opanowana jak wytrawny wyga i... i za młoda dla niego.

Wiedział to już w chwili, gdy ujrzał, jak baraszkowała w wodzie. Było tak, jakby ona zamieszkiwała inną krainę, którą on opuścił już dawno - bez prawa powrotu. Była młoda, szczerą, niewinna, on zaś miał trzydzieści cztery lata, choć czasem zdawało mu się, że ma ich pięćset. Jako reporter wojenny poznał ludzką naturę od jej najgorszej strony, więc już dawno utracił wszelką niewinność. Chociaż w swojej pracy starał się być maksymalnie uczciwy, to jednak najpierw zawsze myślał o tym, jakie konsekwencje przyjdzie mu ponieść za powiedzenie prawdy. Co zmęczony życiem i światem dziennikarz mógł mieć wspólnego z kimś tak świeżym i czystym jak Jo Almond? Nic.

Tak, wiedział o tym od samego początku, chociaż odsuwał tę świadomość od siebie i robił wszystko, by zagłuszyć głos rozsądku. Nie słuchał go tak dalece, że nawet ją zatrudnił! Widać pożądanie pomieszało mu rozum.

Nie, nie pożądanie. Tęsknota.

A teraz na domiar złego umówił się z nią na romantyczną randkę w ogrodzie różanym. Zwariował!

- Pamiętaj, Burns, łapy przy sobie - przykazał sobie surowo. - Ona nie jest dla ciebie.

Mimo to miał dziwne wrażenie, że ona właśnie jest dla niego, że są dla siebie stworzeni, że przez całe życie czekał na tę dziewczynę - słodką i trzeźwo myślącą.

Przypomniał sobie jej sowa: „...istnieją tylko trzy przedziay wiekowe: dziecko, nastolatek i dorosy. Ja jestem dorosa, i to ju od dugiego czasu". O tak, jeste dorosa, Jo, pomya. Moje ciao na to reaguje. I nie tylko ciao.

Czyli to wanie jest mioc, odkry nagle ze zdumieniem. Zakocha sie! Pierwszy raz w yciu.

Zaplanowa ten wieczr bardzo starannie.

Najpierw wezwa ze wsi Vincenta Petauda, ktory mia furgonetk, by zawio Morrisonw do kina. Nastepnie caa trojka miaa i do lokalu na kolacj. I nie wraca przed ponoc.

Po ich wyjedzie wynio do grodu roanego niewielki sto, par krzesel, wykrochmalony obrus i barokowy kandelabr. Kiedy Jo niemiao stana u wejcia do ogrodu, usysza sodkie dzwieki kwartetu smyczkowego, ujrzaa blask wiec oraz Patricka w nienobialej koszuli i czarnych spodniach. Wyglada zabojczo.

- To chyba nie moja liga - powiedziaa sabym gosem. Podeszed do niej, wyciagajc obie rece i uj jej donie.

- Dla mnie to te pierwszy raz.

- Niemoliwe.

- Naprawd. Uwierz mi. Nigdy w yciu nie zrobiem nic podobnego.

Spojrza na czekajce na stole krysztaowe kieliszki i porcelanow zastaw.

- Trudno sie tego domylic.

- Nie wszystko jest tak, jak trzeba - wyzna. - Gdybym mia wicej czasu, sprowadzibym ci trubadurw z lutniami, a tak musisz zadowoli sie Vivaldim z iPoda.

- Co, to bedzie prawdziwe powieczenie z mojej strony - stwierdzia z udawan powag.

Unio jej do do ust, a Jo tym razem nie protestowaa.

- Ten wieczór to czas poznania. Chcę wiedzieć o tobie wszystko. Co lubisz, czego nie, co chciałabyś robić w życiu. Wszystko.

Przechyliła głowę na bok.

- A czy to działa w obie strony?

- Tak. Możesz spytać o cokolwiek. Powiem prawdę.

Usiedli przy stole, Patrick nalał Jo wina, które wydawało się smakować brzoskwiniami i słońcem, nałożył jej na talerz przepiórcze jaja.

- Dobrze... - zdziwiła się, spróbowałszy wina. - Nie sądziłam, że po wyczynach mojego wujka kiedykolwiek posmakuje mi alkohol.

- Opowiedz mi o nim.

Opowiedziała więc, starając się mówić najzupełniej rzeczowo i bez śladu emocji, a udało jej się to tak dalece, że Patrick nawet wybuchnął śmiechem, gdy opisała, jak wcisnęła Briana między szczotki w schowku pod schodami i zamknęła na klucz. Zaraz jednak spoważniał.

- W twoim głosie nie ma goryczy. Wybaczyłeś im? Nie chcesz się zemścić?

- Zemściłam się wystarczająco, gdy uciekłam i pozbawiłam Carol niewolnika. Ale najchętniej zrobiłabym coś takiego, żeby już nigdy nie pozwolono im wziąć pod opiekę żadnego dziecka.

- Ja też - rzekł z przekonaniem. - Ale do tego chciałbym się zemścić.

- Mówisz, jakbyś był w to osobiście zaangażowany - zdumiała się.

- Bo jestem. Czekał, doleję ci wina. I zjedzmy coś.

Przygotowując piknik, splądrował lodówkę i ogródek warzywny, na stole znajdowały się więc szparagi w maśle, świeża sałata i groszek, domowy pasztet, delikatne płaty pstrąga schwytanego po południu w rzece, szynka, salami i wielkie czarne oliwki. Patrick nakładał Jo najlepsze kęski na talerz, niektóre nawet podawał jej do ust, dolewał jej wina, świece kładły na wszystko złoty blask, świerszcze cykały, odzywał się jakiś samotny ptak, róże pachniały

niczym ciężkie perfumy, a ten zapach wydawał się jeszcze bardziej upajający niż wino.

- Odpowiesz mi na jedno pytanie?

- Mówiłem, że możesz pytać, o co zechcesz. Chociaż i tak wiesz już o mnie więcej niż ktokolwiek inny...

- A wiesz, że ja mogę powiedzieć to samo? Jego oczy błysnęły w świetle świec.

- Wiem.

Powinnam już iść, pomyślała Jo. Ale nie mogła się na to zdobyć, jakby Patrick rzucił na nią czar.

- Pytaj, o co chcesz - zachęcił.

- Powiedziałaś, że Isabelle zachowuje się jak wierna ukochana powracającego bohatera, tyle że ty nie jesteś zainteresowany. Ale coś musiało ją do tego skłonić, prawda?

- Jak zwykle przechodzisz do sedna sprawy. - Dolał jej wina i usiadł wygodniej. - Cóż, niech ci będzie, wyznam moje grzechy... Otóż Isabelle przekonała mnie, że miałbym większe szanse na zaadoptowanie Pavliego, gdybyśmy byli małżeństwem. I rzeczywiście wziąłem to pod uwagę. Wiedziałem, że jej nie kocham, lecz myślałem, że mimo to jakoś nam się ułoży.

Jo duszkiem wypłała pół kieliszka wina, by ukryć swoją reakcję.

- Zszokowałem cię?

Owszem, ale nie zamierzała dać po sobie nic poznać, więc wzruszyła ramionami.

- Nie jestem zaskoczona, przecież sam przyznałeś, że nie jesteś dżentelmenem.

Skrzywił się, jakby wymierzyła mu celny cios.

- Nie oszczędzasz mnie...

Jednym haustem dopiła pozostałe pół kieliszka.

- Nadal zamierzasz się z nią ożenić?

Przez długą chwilę w milczeniu wpatrywał się w Jo.

- Przecież po tym, o czym dziś mówiliśmy...

- Mówiłeś, że mogę zadać każde pytanie - przypomniała mu.

- Oczywiście. - Znowu dolał jej wina. - Teraz moja kolej. Opowiedz mi o Marku.

Aż podskoczyła z wrażenia. Nikomu na świecie nie zamierzała zdradzić nic o swoim przybranym bracie. Zwłaszcza miejsca jego pobytu.

- Co?

- O tym twoim chłopaku, który wystawił cię do wiatru.

- Bawił się swoim kieliszkiem, nie spuszczać wzroku z Jo.

- Nie mów mi tylko, że dalej chcesz się z nim widywać.

- Owszem, chcę. To zresztą nie jest mój chłopak. Czasem dzwonię do niego, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Patrick błędnie zinterpretował jej słowa.

- Nie jest, bo cię zostawił. Uwił sobie gdzieś wygodne gniazdko, a ty jeszcze wydzwaniasz, żeby się upewnić, czy u niego wszystko dobrze. Masz za daleko posuniętą skłonność do wybaczenia! - Na jego twarzy malowała się złość.

- Za to ja bym mu zdrowo przyłożył.

Jo zerwała się z krzesła.

- Nic nie rozumiesz!

Nieoczekiwanie zrobiło jej się jakoś dziwnie; kieliszek wypadł z nagle wiotkich palców, usiane gwiazdami niebo zakręciło się, a księżyc wykonał fikołka. Zaraz potem Jo uświadomiła sobie, że mocno się czegoś trzyma.

To był Patrick.

- Widzę, że viognier nieźle na ciebie podziałał. Ile wina normalnie możesz wypić?

Potrząsnęła głową, ale jak już zaczęła, nie mogła przestać, głowa sama latała jej w obie strony

- Nie wiem. Nigdy dotąd nie piłam wina - wybełkotała. Jęknął cicho.

- Powiniennem był spytać!

Ujął jej głowę w ręce i przytrzymał.

- Myślałem, że wiem o ludziach wszystko, ale chyba jeszcze muszę się sporo nauczyć.

Słuchając go jednym uchem, przytuliła twarz do jego białej koszuli.

Mmm, jak dobrze... Prawie jak w niebie. Zdawało jej się, że Patrick pogładził ją po włosach, ale mogła to być tylko jej wyobraźnia.

- Przykro mi, Jo, ale ululałaś się - rzekł z żalem i rezygnacją w głosie. - Cóż, jedyne, co mogę dla ciebie zrobić, to położyć cię do łóżka i dać ci do picia coś innego.

Jo nic nie zapamiętała z tego kładzenia jej spać. Obudziła się późno. Czowała się, jakby w ustach miała trociny, głowa jej ciążyła. Przy łóżku stała butelka wody mineralnej, opróżniona do połowy i dwa puste kubki po kawie. Odgadła, że Patrick musiał siedzieć przy niej na łóżku przez jakiś czas i poić ją, trzymając kubek przy jej wargach. Ładny finał romantycznej randki! Upiła się, urwał jej się film, a Patrick doglądał, żeby nie miała kaca. Co za wstyd! Jak ona teraz spojrzy mu w oczy?

Okazało się, że niepotrzebnie się zamartwiała, gdyż Patrick wyjechał do Londynu.

- Pracował całutką noc - zrelacjonowała pani Morrison. - Jak wróciliśmy z miasta, to w gabinecie paliło się światło, jak zeszłam w nocy do kuchni po coś do picia, to dalej się paliło, a jak rano przyszłam do gabinetu rozsunąć zasłony, Patrick siedział przy biurku, pisał, wydzwaniał, załatwiał różne sprawy. Może wreszcie skończy tę swoją książkę, kto wie?

Wziął się do pracy, żeby zapomnieć o tym nieudanym wieczorze ze mną, pomyślała Jo, czując, jak robi jej się zimno.

- Aha, Patrick zostawił dla ciebie wiadomość.

- Tak? - spytała z nagłą nadzieją.

- Bracia Picard przyjadą wyremontować ci to mieszkanie na strychu. Wyprowadź wszystkie samochody z szopy, żeby nic im się nie stało, a potem zrób sobie dzień wolny i baw się dobrze.

Posłuchała i naprawdę starała się dobrze bawić. Zrobiła sobie piknik nad rzeką, starała się czytać „Władcę pierścieni”, ale za nic nie mogła się skupić, gdyż wszystko natychmiast przypominało jej o Patricku - zarówno jego ulubiony autor, jak też widok rzeki, wierzb i łąk. Co on z nią zrobił? A najgorsze było to, że sam pewnie w ogóle o niej nie myślał, zaprzątnięty swoimi ważnymi sprawami. Spędził część dnia w jej towarzystwie, jakby zafundował sobie krótkie wakacje, ale już wrócił do swojej pracy i zajęć. Jo niemal dałaby głowę, że nawet nie pamiętał o jej istnieniu.

Kiedy wieczorem wróciła na zamek, zobaczyła, że garaż w szopie wymalowano na białą. Schody na strych już nie skrzypiały, poręcz przestała się chwiać. Jo wbiegła na górę, otworzyła drzwi i zamarła.

Ściany miały ciepły odcień starego pergaminu. Zamiast zużytych gratów pojawiły się prawdziwe antyki - biureczko z orzechowego drewna, mała biblioteczka, która obracała się wokół własnej osi, pełna książek, stolik przy łóżku... no i samo łóżko.

Wpatrywała się w nie z niedowierzaniem. Wyglądało jak wyjęte z jakiegoś filmu - przepiękne, bogato rzeźbione, zarzucone poduszkami, a było ich tyle, że w buduarze nałożnicy sułtana pewnie tyle by się nie znalazło. Co ten Patrick sobie myślał?! To nie było łóżko dla mechanika, tylko dla...

Zbiegła na dół, gdyż naraz poczuła, że nie wytrzyma dłużej w tym miejscu.

- No i jak ci się podobają twoje nowe meble? - zagadnęła pani Morrison, gdy wzburzona Jo wpadła do kuchni. - Wydawało nam się z George'em, że ten stryszek jest za ponury jak dla dziewczyny. Powiedzieliśmy Picardom, co mają przenieść z zamku do ciebie. Teraz jest lepiej, prawda?

Jo poczuła się nagle jak przekłuty balonik. Czyli to Morrisonowie wybrali dla niej to łóżko, a nie Patrick, więc nie będzie musiała o nim myśleć, ilekroć przyłoży głowę do poduszki. Powinno sprawić jej to ulgę, prawda?

Żeby o tym zapomnieć, zerknęła na leżącą na stole kartkę pocztową i najzupełniej beczelnie przeczytała jej treść. „Patrick, przyjeżdżam na dwa tygodnie do Francji. Odwiedzę Cię. Ucałowania, Lisa”.

- Kto to jest Lisa? - spytała z doskonałą obojętnością. George sięgnął po kartkę i przeczytał ją na głos.

- No tak, znowu się zaczyna - skomentował. Serce podskoczyło Jo w piersi.

- Co się zaczyna?

- Kolejna wielbicielka. Patrick ich nie cierpi, opędza się, jak może. To pewnie jedna z tych smarkul, które zobaczyły go w telewizji i pomyślały, że mają u niego szansę. Moja Betty mówi, że nasz Patrick chce się żenić z panią Legrain, żeby wszystkie inne wreszcie się od niego odczepiły.

Jo poczuła, że zaczyna jej brakować powietrza.

- Nie wiem, czy tylko dlatego. Widziałam ją wczoraj, nic jej nie brakuje. Może on ją kocha?

- Patrick? Kocha? - spytała pani Morrison takim tonem, jakby w życiu nie słyszała nic głupszego.

- To może ona jest zakochana, a on po prostu chce się ustatkować?

- Ba, pewnie, że jest zakochana. W jego posiadłości. Wyszłaby nawet za szympana, gdyby miał taki zamek.

Podczas nieobecności Patricka czas dłużył się Jo niemiłosiernie, więc starała się wynajdywać sobie jak najwięcej zajęć. Oprócz samochodów zajmowała się też zapuszczonym ogrodem, plewiła chwasty, starała się też pomagać pani Morrison w kuchni.

- Co cię tak nosi? - spytała któregoś dnia gospodyni.

- Mnie? - zdziwiła się Jo.

- Wychowałam za dużo dzieci, żeby nie widzieć, co się z tobą dzieje. Po prostu nie możesz usiedzieć ani chwili w jednym miejscu.

- Bo całe życie ciężko pracowałam, a tu wydaje mi się, że nie mam co robić - poskarżyła się Jo, zabawiając się przesypywaniem łyżeczką cukru w cukiernicy. - A już najgorzej jest wieczorem.

- Przecież możesz czytać albo coś pooglądać. Wpuszczę cię do pokoju telewizyjnego, stoi tam cała kolekcja starych filmów, które pan Godfrey bardzo lubił. I chyba wszystkie relacje i reportaże Patricka, bo je nagrywał.

Tego wieczoru Jo usiadła na dywanie przed telewizorem, rozłożyła przed sobą chronologicznie kasety z nagraniami występów Patricka, gospodyni zostawiła jej na tacy talerz ze świeżymi babeczkami i dzbanek herbaty. W ciągu jednej nocy Jo zobaczyła dziesięć lat z życia Patricka; widziała, jak się rozwijał, stawał coraz lepszym dziennikarzem, mądrzejszym, bardziej wnikliwym. W ostatnim z nagrań wywierał największe wrażenie. W sercu Jo wezbrało głębokie współczucie, gdy z ekranu padły słowa:

- A najgorsze jest to, że nikt nie wie, jak zakończyć tę wojnę, ponieważ zbyt wielu ludziom ona się opłaca.

Wtedy jeszcze nie utykał, postrzelono go więc później. Jak to się stało? Czemu znalazł się na linii ognia? Sądząc po determinacji jego ostatnich słów, mógł podjąć jakieś kroki, żeby... żeby co? Zakończyć wojnę? To oczywiście nie leżało w mocy pojedynczego człowieka. Ale mógł zrobić coś, by pomóc ludziom, którzy w niej ucierpieli. Jo przypomniała sobie, co jej powiedział, gdy siedzieli w cieniu nad rzeką i zrozumiała, czego się podjął. Potajemnie przeprowadzał uchodźców przez granicę. I za którymś razem zarobił kulę w nogę, może nawet całą serię.

Ostatnie nagranie dawno się skończyło, a ona wciąż siedziała bez ruchu. Patrick Burns nie był tylko człowiekiem z porywczym temperamentem, skłonnością do wygłaszania prowokacyjnych uwag i chorą nogą. Patrick Burns był człowiekiem, który z determinacją zmieniał bieg rzeczy.

- Boże, przecież ja go kocham!

To odkrycie sprawiło, że zaczęła drżeć na całym ciele. Wstała, odruchowo wyłączyła magnetowid i telewizor, w ogóle nie myśląc, co robi. Kręciło jej się w głowie. Zakochała się, ale cóż z tego? Przecież była tylko tyczkowskim strachem na wróble, kolejnym nieznaczącym szczegółem w pracowitym i poświęconym ważnym sprawom życiu Patricka Burnsa, któremu już i tak narzucało się zbyt wiele kobiet.

Jeszcze nigdy nie czuła się równie niechciana jak tej nocy. Zgasła światła i powlokła się z powrotem do siebie, zaś przez resztę nocy dręczyły ją koszmary. Śnił jej się Patrick, mówiący coś do kamery i nie zwracający uwagi na to, że tuż za jego plecami Jo zamarza w śniegu. Wyciągała do niego ramiona, wołała go, wszystko nadaremnie.

Nad ranem wydało jej się dla odmiany, że on jest przy niej, lecz zaraz potem okazało się, że znów tuliła do siebie poduszkę i jak zawsze była sama. To sprawiło, że podjęła decyzję. Nie będzie kolejną kobietą, która usycha z tęsknoty za Patrickiem. Nie może go dalej widywać, musi odejść z zamku.

Nie zdradziła się przed Morrisonami, że szuka nowej pracy, za to zadzwoniła do Jacques'a i poprosiła, by rozejrzył się za czymś.

- Myślałem, że znalazłaś sobie dobrą pracę - zdziwił się.

- Tak, ale ona niedługo się skończy - powiedziała, właściwie zgodnie z prawdą. - Popytasz w okolicy? Nie mam żadnych oczekiwań, mogę robić cokolwiek.

- Dobrze, popytam. Aha, odwiedź nas w tym tygodniu. Musimy zdecydować, co z Markiem.

Umówili się więc na ten dzień w tygodniu, gdy Sauveterre'owie nie jeździli na targ ze swoimi produktami. Jo wróciła do szopy, dokonała drobnej naprawy w ukochanym bugatti, odnotowała ją starannie w odpowiednim zeszytce, a potem zaczęła pucować wóz, jakby od tego zależało jej życie. Dobrze, jest strachem na wróble oraz istną szafą i nikt o nią nie dba, ale przynajmniej zna się

na samochodach, więc zostawi je w takim stanie, żeby ten, kto przyjdzie po niej, miał jak najmniej roboty. Niech Patrick wie, jaki skarb posiadał! Oczywiście skarb w postaci mechanika.

Nagle dobiegło ją wołanie. Odwróciła się i ujrzała gości - dwie atrakcyjne blondynki, szczupłe, opalone na czekoladowy brąz, ubrane w króciuteńkie szorty i głęboko wycięte bluzeczki.

Jo poczuła się przy nich jak słoń. I to blady, gdyż jej lekka opalenizna nie mogła się równać z tak apetycznym brązem.

- W czym mogę pomóc? - spytała po francusku, okazało się jednak, że ma do czynienia z Angielkami.

- W niczym - ucięła wyższa, nie kryjąc pogardy na widok siana na głowie Jo i jej niemiłosiernie spranej koszulki, lecz druga była grzeczniejsza.

- Jesteśmy na wakacjach. Czy to posiadłość Patricka Burnsa?

Jo popatrzyła na jej seksowną figurę, wyrafinowany i zapewne kosztowny balejaż, dziwnie niespokojne oczy i usłyszała w głowie dzwonek alarmowy, zaś lata samotnej włóczędzy nauczyły ją temu dzwonekowi ufać.

- Wydaje mi się, że tak. Nie widuję właściciela zbyt często.

Blondynki wymieniły spojrzenia mówiące, że wcale ich to nie dziwi, a potem oznajmiły, że specjalnie przyszły na piechotę z Lacombe, czemu Jo nie dała wiary, gdyż wyglądały zbyt świeżo i ich makijaż był zbyt idealny, żeby miały za sobą ośmiokilometrowy marsz piaszczystą drogą.

- Jestem jego wielką fanką - powiedziała jedna. - Pójdę na zamek i powiem Patrickowi, jak bardzo go podziwiam.

Jo była w kłopotcie, gdyż tego dnia Vincent Petaud zawiózł Morrisonów do Bordeaux, bo trzeba było naprawić jakieś uszkodzenie w fotelu George'a. Sama musiała sobie poradzić z nieproszonymi gośćmi.

- Ale jego nie ma.

- Nie szkodzi. Poczekamy. - Ta bardziej zmysłowa popatrzyła na Jo twardym wzrokiem.

- Obawiam się, że to niemożliwe. Poleciał do Londynu i nie wiadomo, kiedy wróci. A mnie nie wolno dopuszczać, żeby jakieś obce osoby kręciły się w pobliżu samochodów - zmyśliła na poczekaniu. - Rozumiecie, to ma związek z ubezpieczeniem.

Spojrzały na nią jeszcze mniej przychylnie.

- Co ty tu właściwie robisz?

Odniosła irracjonalne wrażenie, że natknęła się na wroga, dlatego też odpowiedziała wymijająco:

- Pomagam. Gospodyni ma dzisiaj dzień wolny, więc ją zastępuję. Może odwieźć was do Lacombe?

Nie chciały nigdzie jechać, węsząc podstęp, ale kiedy Jo wpuściła je do holu zamku, by mogły na własne oczy ujrzeć stertę korespondencji, czekającą na Patricka, musiały wreszcie uwierzyć, że gospodarz faktycznie wyjechał. Koniecznie chciały obejrzeć zamek, lecz Jo była nieugięta i nie pozwoliła im wejść dalej. Ostatecznie łaskawie przyjęły propozycję podwiezienia.

Po drodze blondynki okazały duże zainteresowanie elektronicznie zamykaną bramą oraz systemem zabezpieczającym, który włączał się automatycznie o zachodzie słońca.

- A gdyby ktoś próbował przejść przez mur, to czy prąd jest tak silny, że mógłby zabić? - spytała ta zmysłowa, która wyglądała na prowodyrkę.

Jo wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, nigdy nie próbowałam.

- Bo pewnie nie miałaś po co - rzekła wyższa z nieskrywaną wzgardą.

Czy to miało znaczyć, że jest maskaronem, z którym i tak nikt nie umówiłby się na randkę? Owszem, była maskaronem, ale one nie miały prawa mówić tego na głos. Rozwścieczona, zełgała bez namysłu:

- Przeciwnie, prawie co wieczór biegam na randkę. Nie mam problemu z powrotem, bo tam jest dawna droga dojazdowa. - Wskazała. - Tamta brama cały czas stoi zamknięta, ale obok jest furtka.

Widać je przekonała, bo nareszcie się zamknęły. Zawiozła je pod jedyny hotel w Lacombe, lecz okazało się, że wcale się tam nie zatrzymały, tylko przyjechały z Bordeaux. Miały dość tupetu, by próbować nakłonić Jo do odwiezienia ich tam, lecz tego było już nadto.

- Bracia Picard mają taksówkę, w hotelu na pewno podadzą wam numer - poinformowała.

Wracając, pomyślała, że George miał rację, mówiąc o napastujących Patricka wielbicielkach. Dałaby głowę, że te dwie wrócą prędzej czy później. Będzie musiała uprzedzić Patricka, oczywiście o ile go jeszcze zobaczy przed swoim wyjazdem.

Tak, miała go zobaczyć. Morrisonowie, którzy wrócili z Bordeaux wcześniej, niż planowali, powitali ją informacją, że Patrick właśnie jedzie z lotniska.

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

Jo uciekła do garażu, gdyż nie czuła się na siłach, by spojrzeć mu w oczy. Na szczęście dowiedziała się również, że przywoził ze sobą gościa, niejakiego Simona Hatfielda, którego znał jeszcze ze studiów i dla którego zaaferowana pani Morrison specjalnie piekła ciasto orzechowe. Jo zakładała, że zajęty gościem Patrick nie będzie miał dla niej czasu. Myliła się.

Właśnie woskowała karoserię rolls-royce'a, gdy usłyszała za sobą kroki.

- Cześć - rzucił Patrick, jakby dopiero co się widzieli i jakby wcale nie zostawił jej bez słowa pożegnania. - Tęskniłaś za mną?

Odwróciła się. Stał w progu z rękami na biodrach, śmiał się otwarcie, zaś jej na jego widok podskoczyło serce i rozpromieniła się jak ostatnia idiotka.

- Jak twój kac? - spytał, patrząc na nią dziwnie ciepłym wzrokiem.

- Cóż, pierwsze takie doświadczenie w moim życiu.

- Przykro mi, że nie mogłem zostać i ci pomóc. Wypiłaś resztę wody?

- Tak. Dziękuję. Sama nie wiedziałabym, co powinno się zrobić w takiej sytuacji.

- Pod pewnymi względami jesteś bardzo staroświecka. Niewielu dziewiętnastolatków nie ma pojęcia, co się stosuje na kaca.

Wszedł do garażu, wciągnął powietrze.

- To zapach świeżej farby - powiedziała Jo. - Dziękuję za wymalowanie strychu. I za meble.

Gdybyś jeszcze sam je wybrał, pomyślała z żalem.

- Spodobała ci się obrotowa biblioteczka? Od początku chciałem ci ją dać.

- To ty wybrałaś meble dla mnie? - zdumiała się. Przecież gospodyni powiedziała...

- Niania dostała szczegółową listę, z książkami włącznie. Ile już zdążyłaś przeczytać?

Jo nie posiadała się z radości. Czyli to jednak on! To on pomyślał o wszystkim, to on o wszystko zadbał! On!

- Na razie żadnej, ale dziś wieczorem usiądę do lektury.

- Miałem nadzieję, że dziś wieczorem zjesz kolację ze mną i Simonem. Chciałbym was poznać ze sobą, na pewno go polubisz. W każdym razie on bardzo cię ceni.

- Nie rozumiem. Przecież mnie nie zna. W jego oczach zabłyśły przekorne ogniki.

- Przyjdź na kolację, a wszystko stanie się jasne. Czyż mogła oprzeć się jego urokowi?

- Dobrze, przyjdę.

Los miał jednak w zanadru zupełnie inny scenariusz, gdyż w tym momencie zadzwonił telefon. Patrick przez chwilę słuchał w milczeniu, pochmurniejac coraz bardziej.

- Jak to jest, że wy, prawnicy, potraficie poradzić sobie z głupim fałszywym oskarżeniem o napastowanie seksualne, zaś nie umiecie nic zrobić, gdy chodzi o coś naprawdę poważnego? - wycedził jadowicie. Potem znowu słuchał. - Bardzo mi to nie na rękę, ale skoro on niedługo wylatuje, nie mamy wyboru, spotkamy się dzisiaj. - Schował telefon do kieszeni, odwrócił się do Jo i dotknął jej policzka, jakby nie mógł się powstrzymać. - Przeniesiemy naszą kolację na jutro, ale powinnaś być zadowolona, kiedy się dowiesz, dlaczego. A teraz muszę iść po Simona, który pewnie flirtuje z nianią. Do zobaczenia jutro, kochanie.

Wyszedł, nie czekając na odpowiedź, no i dobrze zresztą, gdyż Jo kompletnie oniemiała z wrażenia. Powiedział do niej „kochanie"! Nie mówi się tak do strachów na wróble. Ani do maszkaronów. A mimo to właśnie tak ją nazwał. Przez resztę dnia napawała się tym wspomnieniem, uśmiechając się nieustannie, a wieczorem znów nie zdołała nic przeczytać, ponieważ myślała tylko o tym. Potem zaś nie mogła zasnąć, gdyż po upalnym dniu nastąpiła gorąca,

duszną noc. Do tego wybijało ją ze snu wspomnienie tego czarownego słowa. Kochanie...

Wreszcie poddała się i wyszła do ogrodu, nie zawracając sobie głowy przebieraniem się, gdyż o tej porze nie mogła nikogo spotkać. Szła bosą, bezszelestnie. Kiedy znalazła się nieopodal fontanny, usłyszała dziwny dźwięk, który nie miał prawa się tu rozlegać - damskie głosy. Wyrzała ostrożnie ponad żywopłotem z przyszyżonego bukszpanu i zobaczyła je znowu. Wróciły. Nawet nie zachowywały się specjalnie cicho, tak były pewne siebie. A ona sama pokazała im drogę!

Popędziła do zamku. Główne wejście było oczywiście zamknięte, ale tylne drzwi kuchni ustąpiły, gdy nacisnęła klamkę. Przeszła dalej, w salonie i gabinecie było ciemno, lecz zauważyła odbłask światła sączący się z oranżerii. Pobiegnęła w tamtym kierunku i pchnęła ciężkie szklane drzwi.

- Patrick!

Na jej widok odłożył jakieś papiery, podniósł się z rattanowej sofy, z niepokojem ściągnął brwi.

- Co się stało?

Miał na sobie dzinsy i białą koszulę z krótkim rękawem, Jo pierwszy raz widziała go ubranego tak swobodnie. Wydał jej się jeszcze bardziej atrakcyjny niż kiedykolwiek. I ona zakochała się w kimś takim? Przecież nie miała żadnych szans!

- Miałam ci to powiedzieć, kiedy przyszedłeś do garażu, ale wyleciało mi z głowy. Zrobiłam coś strasznego. Były tu dziś jakieś twoje dwie wielbicielki, odwiozłam je do Lacombe. Wypytywały mnie o wszystko i tak jakoś wygadałam się o tej furtce przy starej bramie. Po prostu nie pomyślałam, co robię. Wróciły, są już w ogrodzie niedaleko fontanny... Ogromnie cię przepraszam.

Czekała na wybuch, lecz nie nastąpił.

- Usiądź, musimy się zastanowić, co z tym zrobić.

Przysiadła na krześle, wokół którego zwieszały się zielone pędy, zaś Patrick przyjrzał jej się z uznaniem.

- Wyglądasz, jakbyś wyszła prosto z dżungli, brakuje ci tylko maczety.

Spojrzała na swoje stare szorty, w których sypiała i na odsłonięte podrapane nogi. Zaczerwieniła się, lecz na szczęście nie zauważył tego, gdyż odwrócił się i sięgnął po telefon.

- Simon? Nie jęcz, bo wiem, że i tak jeszcze nie spałeś. Przyjdź do oranżerii. Tak, teraz. Mam drobny kłopot. - Rozłączył się i spojrzał na Jo. - Hej, nie ma powodu tak się denerwować.

- Jak to nie ma powodu? Zawiodłam cię. Przez moją własną głupotę.

- Nie, przez zwykłą nieostrożność - rzekł łagodnie. - Wszystkim nam się to zdarza od czasu do czasu.

Jego wyrozumiałość spowodowała, że Jo poczuła jeszcze większe wyrzuty sumienia.

- Lepiej nie bądź dla mnie taki miły.

- A dlaczego miałbym nie być dla ciebie miły? - spytał cicho, patrząc na nią intensywnie, zaś jego oczy w ciepłym świetle niewielkiej lampy wydawały się zupełnie złote.

Zapadło milczenie. Jo nie potrafiła nic z siebie wydusić, nie potrafiła też odwrócić wzroku, a Patrick przyglądał jej się z hipnotyzującym uśmiechem. Trwało to do chwili, gdy do oranżerii wszedł elegancki, nieco łysiejący mężczyzna.

- Traktujesz ludzi jak niewolników. Gdyby nie to, że zamierzam obłupić cię ze skóry za moje usługi, powiedziałbym ci, żebyś zadzwonił po innego prawnika.

Patrick uśmiechnął się do przyjaciela.

- Łzesz. Zrobiłbyś wszystko za samą możliwość objadania się przez tydzień ciastami niani Morrison. Napijesz się czegoś? - Podeszedł do małego bambusowego barku.

- No, już myślałem, że nie spytasz. Dla mnie whisky.

- Jo, co dla ciebie?

- Ja dziękuję, jeden kac na razie mi wystarczy...

- W takim razie dostaniesz sok grejpfrutowy, ale najpierw pozwólcie, że was sobie przedstawię.

Nastąpiła krótka prezentacja, potem Simon usiadł i spytał:

- W czym problem?

- Jo zauważyła wroga, który wtargnął na nasz teren. Masz się ich pozbyć.

- Morderstw nie popełniam - oznajmił spokojnie Simon. - Zwłaszcza na wakacjach. A jeśli chcesz oskarżyć kogoś o wtargnięcie na teren prywatny, wezwij francuskiego prawnika. Ja nie znam tutejszych przepisów.

- To coś wymyśl. Mam dość napastowania mnie przez wielbicielki.

- A, czyli mamy na karku kolejne chętne na szybkie i łatwe zdobycie sławy dzięki jednej nocy? Cóż, już raz cię wybroniłem, więc bez obaw.

- Tak, tylko wtedy straciłem pracę, przyjaciela, wielu znajomych i reputację. Ucieszyłbym się, gdyby tym razem koszty były mniejsze.

- No to powiedz wrogom, że jest za późno, bo twierdza została już zdobyta. - Wskazał na Jo. - Oto zwyciężczyni, reszta nie ma tu czego szukać. Zobaczysz, zmyją się jak niepyszne.

Patrick przeszył przyjaciela iście morderczym spojrzeniem, lecz na Simonie nie wywarło to większego wrażenia.

- Nic lepszego nie potrafisz wymyślić? - wycedził Patrick.

- Nic lepszego nie możesz zrobić.

- Nie wiesz, o czym mówisz. Simon zerknął na Jo.

- A może ty coś poradzisz? Co mogłoby cię zniechęcić, gdybyś to ty zdołała zakraść się do sypialni Patricka?

- Nie mam bladego pojęcia - rzekła z całym przekonaniem i westchnęła.

Z niewiadomych powodów Patrick spochmurniał jeszcze bardziej.

- Jo jest moim pracownikiem, nie mogę jej wciągać w moje prywatne sprawy, więc przestań udzielać bzdurnych rad.

Teraz i Simon się zirytował.

- W takim razie z fankami radź sobie sam. Ja mam zrealizować pomysł Jo, a nie bronić cię przed babami.

- Mój pomysł? - zdumiała się.

- Przecież to ty przekonałaś Patricka, by odstąpił od adopcji jednego chłopca, a zamiast tego pomógł całej grupie. Wycofał więc podanie o adopcję, za to złożył ofertę kupna kilku opuszczonych, zbombardowanych budynków. Teoretycznie obcokrajowcy nie mają prawa posiadać tam nieruchomości, ale znaleźliśmy furtkę - otóż właścicielem może być wspólnota. Patrick wyasygnuje pieniądze na pomoc dla tych ludzi i na odbudowę domów. To znakomite rozwiązanie.

W tym momencie zadzwoniła komórka Simona. Przez jakiś czas tylko słuchał, pospiesznie robiąc notatki w grubym, oprawionym w skórę notesie, z którym wydawał się nie rozstawać. Kiedy się rozłączył, podniósł wzrok na Patricka.

- Moje gratulacje. Stałeś się właścicielem całej ulicy, a to znaczy, że ci ludzie nie zostaną rozdzieleni. Pavli zamieszka u rodziny Borec. Możesz wysłać ekipę budowlaną, kiedy tylko zechcesz. Czerwony Krzyż jest zadowolony, że zamierzasz tam też zainstalować jednego z ich pracowników. Tamtejsi watażkowie zastanowią się dwa razy, zanim zaatakują miejsce chronione przez międzynarodową organizację.

Patrick milczał, był bardzo blady. Simon, nie uzyskawszy żadnej odpowiedzi, dodał nieco urażonym głosem:

- Nic lepszego nie zdołam załatwić. Uważam, że i tak ugraliśmy wyjątkowo dużo. Szczerze powiedziawszy, nie spodziewałem się równie dobrych rezultatów. Musieliśmy wypaść bardzo przekonująco podczas dzisiejszego spotkania na lotnisku.

Patricka nagle odblokowało. Wydał z siebie głośny okrzyk, chwycił Jo za rękę, poderwał z krzesła, okręcił dookoła siebie.

- Jo, jesteś genialna! Simon, jesteś nieoceniony! Kiedy możemy podpisać umowę kupna?

Prawnik uśmiechnął się szeroko.

- Choćby i zaraz. Masz przecież faks w gabinecie.

Przyjaciele wyszli, rozmawiając z podekscytowaniem, zaś Jo została sama, napawając się tym, co usłyszała. Patrick Burns, człowiek wielkiego formatu, nie tylko wysłuchał jej rady, ale też wprowadził ją w życie! I powiedział, że Jo jest genialna! Oszołomiona i zbyt poruszona, by usiedzieć spokojnie, zaczęła krążyć po dużej oranżerii. Natknęła się na małą przyścienną fontannę - z ust kamiennego aniołka wypływała strużka wody i wpadała do niewielkiej sadzawki z liliami wodnymi. Jo przykucnęła, by je obejrzeć, przez co stała się zupełnie niewidoczna z zewnątrz. Kilka chwil później rozległ się brzęk tłuczonego szkła.

- Lisa, jesteś pewna, że dobrze robimy?

- Zamknij się i podaj mi rękę.

Jo zastanawiała się gorączkowo, co powinna zrobić, gdy otworzyły się drzwi oranżerii i rozległ się zaniepokojony głos Patricka:

- Jo, wszystko w porządku?

Nagle zgasło światło. Dały się słyszeć szybkie kroki, a potem gniewne pytanie:

- Jo, co ty wypra...

Z łatwością odgadła, kto go uciszył i w jaki sposób, gdyż

zmysłowe pomruki, jakie wydawała z siebie owa Lisa, mówiły wszystko.

A Patrick myślał, że to Jo rzuciła się na niego w ciemnościach! Co robić, co robić? Nagle przypomniała sobie radę Simona. Czy potrafiłaby odegrać taką rolę? I czy Patrick podziękowałby jej za to? W to drugie wątpiła, ale

przypomniała sobie historię z Maddie i słowa Patricka, że tym razem koszty mogłyby być niższe.

- Cześć, przystojniaku - zamruczał zmysłowy głos. - Na ostatnim przyjęciu w pracy dałeś mi do zrozumienia, że chętnie przyjmiesz moje odwiedziny. No to jestem...

- Ach, Lisa z recepcji! Czym sobie zasłużyłem na ten zaszczyt? - odparł lodowato.

Jo podjęła decyzję. Wyciągnęła koszulkę z szortów, zsunęła jedno ramiączko, potargała włosy w taki sposób, w jaki mógłby je potargać namiętny kochanek, odnalazła stolik z lampką, zapaliła ją i ruszyła w stronę wejścia, przecierając oczy i ziewając szeroko.

Tamci dwoje zamarli na jej widok w ciekawej pozie - blondynka wisiała Patrickowi na szyi, a ten odpychał ją od siebie. Potem Lisa opuściła ręce, zaś Patrick popatrzył na Jo dziwnie wściekłym wzrokiem, musiała więc powtórzyć sobie, że ratuje go z opresji, wcielając w życie poradę jego prawnika.

- Kochanie, wybacz, nie słyszałam, kiedy wszedłeś. Chyba zasnąłam, czekając na dalszy ciąg. - Uśmiechnęła się do Lisy, jak mogłaby się uśmiechnąć prawdziwa zwyciężczyni, która nie czuje się ani trochę zagrożona. - Cześć. Wróciłaś?

Podeszła do Patricka i przytuliła się do niego, starając się zignorować fakt, że on dalej stał jak słup.

Gdy oparła się o jego ramię, zakręciło jej się w głowie od jego bliskości i zapachu, lecz z całych sił starała się zapanować nad sobą i skoncentrować na tym, co było do zrobienia, chociaż Patrick nie wydawał się skłonny do współpracy. Przynajmniej jej nie odepchnął, dobre i to... Zerknęła spod rzęs na śliczną blondynkę.

- Zapomniałaś tu czegoś?

- Mówiłaś, że tylko pomagasz!

Patrick wreszcie podjął decyzję i otoczył Jo ramieniem, a ona zadrżała i bezwiednie przytuliła się mocniej, preżąc się niczym pogłaskany kot.

- Nasze prywatne sprawy nie powinny cię interesować, Liso. - Patrick ujął dłoń Jo i położył na swojej piersi.

Ależ on potrafi grać, pomyślała, gdy spojrzał na nią tak czule, jakby naprawdę ją kochał, jakby chciał, by zatoneła w jego złocistych oczach na zawsze. A jeśli...?

Lisa z furią zacisnęła wargi i nagle nie wyglądała już na taką śliczną.

- Nie wierzę w to. W gazetach pisali, że wróciłeś ranny, ale nie było ani słowa... o niej.

- No to teraz wiesz coś, czego nie odkryli dziennikarze. Moje gratulacje. - Głos Patricka ociekał ironią. - A teraz przyprowadź tu swoją koleżankę.

Lisa bez słowa podeszła do okna i pomogła tamtej wejść. Jo odetchnęła i próbowała się wyprostować, lecz ku jej zaskoczeniu Patrick nie puścił jej od siebie ani na milimetr. Dobiegł ich ponury głos drugiej blondynki:

- Wszystko słyszałam. Mówiłam ci, że nie powinniśmy tu przychodzić.

- No i miałaś rację - stwierdził głośno Patrick. - Zaraz wezwę taksówkę, żeby was odwiozła. Lisa, jeśli jeszcze raz spróbujesz wejść do mojego domu, opowiem wszystko Lasellsowi i wylecisz z roboty, zrozumiano? Prychnęła.

- Przecież to ty wyleciałeś. Twoje wpływy w naszej stacji się skończyły.

- Masz nieaktualne wiadomości.

- Jak to? Wszyscy mówią, że szef ci nigdy nie wybaczy. A ty jemu.

- No to wszyscy się mylą. Ed Lassels nie pozbędzie się kury, która znosi złote jajka. Chce zrobić program o mojej książce i o mojej działalności w tamtym kraju. A co do innych rzeczy, które ludzie o mnie mówią... - Popatrzył na Jo. - Moja dotychczasowa reputacja też stała się nieaktualna. Będę miał dużą rodzinę i skupię się wyłącznie na niej.

To ostatecznie przekonało Lisę. Cała czwórka przeszła do głównego holu, gdzie w milczeniu zaczęła na przyjazd taksówki braci Picard. Patrick przez

cały czas trzymał Jo za rękę. Kiedy wreszcie zostali sami, próbowała się odsunąć, ale jej nie puścił.

- Pewnie powinienem ci podziękować za ratunek? - spytał kpiącym tonem.

- Nic innego nie przyszło mi do głowy - wymamrotała, czerwieniąc się. - Nie wiedziałam, co mogłabym zrobić poza tym właśnie.

- Mogłaś nic nie robić.

- Przepraszam, chciałam dobrze. Zaśmiał się cicho.

- A wiesz, co jest wybrukowane dobrymi chęciami? Jak myślisz, dokąd nas to wszystko zaprowadzi?

Nie wiedziała.

Patrzyła bezradnie, jak on unosi ich splecione ręce, obraca jej dłoń i całuje wrażliwe wnętrze. Dotyk jego warg był lekki jak muśnięcie piórkiem. I tak gorący, jakby została oznakowana rozżarzonym żelazem i odtąd należała do Patricka. Stała, patrząc na pochyloną ciemną głowę i czując, jak nogi pod nią drżą.

- Proszę... - wyszeptała.

Uniósł głowę, a wyraz jego twarzy nagle się zmienił. Jo usłyszała swoje imię wypowiedziane dziwnym głosem. Zadrżała mocniej, spuściła wzrok, zdenerwowana jak nigdy, a przecież niemożliwe, by ona, która znajdowała się już w różnych sytuacjach i nauczyła się radzić sobie z nimi, bała się Patricka, któremu ufała, którego znała, podziwiała i kochała. Nie mogła się go bać, prawda?

A jednak z trudem oddychała, wszystko w niej dygotało. Jeśli nie bała się Patricka, to czego?

Znowu wypowiedział jej imię, a wtedy podniosła wzrok i już nie mogła oderwać go od tych złocistych oczu, nagle dziwnie niepewnych, w napięciu obserwujących jej twarz w poszukiwaniu odpowiedzi.

Nie miała pojęcia, które z nich podjęło decyzję, lecz nagle znalazła się w jego ramionach, usta Patricka delikatnie i tak powściągliwie, jak się dało, dotykały jej powiek, warg, szyi. Niezależnie od tego, jak dalece to było delikatne i powściągliwe, wywierało na Jo takie wrażenie, jakby przeżywała drobne trzęsienie ziemi. Jęknęła bezwiednie, zaś Patrick ostrożnie dotknął językiem kącika jej ust. Tym razem trzęsienie ziemi okazało się naprawdę porządne. Zadygotała.

- Och, kochanie... Jesteś pewna? - wyszeptał.

Odgadła, że zamierzał odsunąć ją od siebie - marnując w ten sposób całą jej odwagę! Oburzona i spragniona, objęła Patricka za szyję.

- Nie traktuj mnie, jakbym była dzieckiem. Przywarła do niego, dygocząc ze strachu i pragnienia, które odczuwała od chwili pierwszego spotkania. Po raz trzeci wypowiedział jej imię, tym razem tak zaskoczonym głosem, jakby intensywność tej reakcji kompletnie go zaskoczyła, a potem przycisnął Jo do siebie. Ręce mu drżały, zaczął całować jej szyję i ramiona, wyrzucając przy tym z siebie:

- To szaleństwo... To za wcześnie...

Niemniej jednak nie puszczał jej, a chwilę potem niecierpliwie rozdarł na niej koszulkę.

- Co ja robię? - jęknął.

Jo zaśmiała się bez tchu i przykryła jego dłoń swoją.

- Chodźmy do mnie.

Poderwał głowę, zatopił pytające spojrzenie w jej twarzy.

- Powiedziałeś, że nikt nie będzie mi tam przeszkadzał i że nie przyjdiesz więcej, jeśli cię sama nie zaproszę. - Chociaż nadal cała się trzęsła, zaśmiała się, nagle dziwnie pewna siebie. - No więc proszę.

Gwałtownie przygarnął ją do siebie, a ona obsypała żarliwymi pocałunkami jego usta, czoło, kłujące policzki, szyję.

- Proszę...

- Jo, nie wiesz, co...

Zakryła mu usta dłonią, z cichym śmiechem pocałowała w ucho.

- Proszę...

Potrząsnął głową, lecz nie wypuścił jej z objęć.

- Chyba oszalałem. Oszaleliśmy oboje - wyszeptał, a potem, obejmując ją mocno, pospieszył z nią ku szopie.

Jo trzęsły się ręce, gdy próbowała otworzyć kłódkę, więc Patrick zabrał jej klucz, otworzył niecierpliwie, zaciągnął Jo do środka i zaczął chciwie całować. Jakoś zdołali wejść po schodach na górę, nie przestając się całować, dotykać i szeptać jakichś bezładnych słów. Jo tym razem nawet nie próbowała otwierać drzwi, podała Patrickowi klucz, a on jakoś zdołał trafić nim do zamka, nie odrywając warg od ust Jo i nadal obejmując ją jedną ręką. Potem niespodziewanie porwał ją na ręce, przestąpił próg i kopnięciem zamknął drzwi. Zaśmiała się.

- To było coś! Rozumiem, że z twoją nogą już lepiej?

- Zacząłem codziennie ćwiczyć. Masz na mnie dobry wpływ.

Znowu się roześmiała i odkryła z zaskoczeniem, że jej głos i śmiech brzmią... seksownie.

- Jestem pod wrażeniem - wymruczała.

- To dobrze.

Położył ją na łóżku i zapalił nocną lampkę. Podarta koszulka odsłaniała piersi Jo, która z uśmiechem wyciągnęła ramiona nad głowę. Jeszcze nigdy nie czuła się równie pełna życia jak w tej chwili. Na ten widok oczy Patricka zaśniły jak czyste złoto.

- To jest coś. Jestem pod wrażeniem - zacytował jej własne słowa.

Oczy Jo pociemniały, spoważniała nagle, wyciągnęła ku niemu rękę.

- Dopiero będziesz...

Nachylił się jak zahipnotyzowany, lecz gdy Jo zaczęła rozpinać mu guziki koszuli, ujął jej dłoń w obie ręce i przytrzymał.

- Najdroższa... - rzekł tak cicho, że ledwie to usłyszała. Omal się nie popłakała ze wzruszenia, gdy bezgranicznie czułym gestem założył jej włosy za ucho. - Jesteś jeszcze taka młoda. Czy jesteś pewna...

- Nie aż taka młoda - rzuciła tak lekkim tonem, jak tylko zdołała.

Zazwyczaj zostawiała sobie jakąś drogę ucieczki, lecz tym razem nie myślała o tym, za to chciała zapewnić ją Patrickowi. Nie mógł się dowiedzieć, jak rozpaczliwie go kocha.

Uniósł jej dłoń do ust.

- Teraz tak mówisz, ale...

Usiadła i zamknęła mu usta pocałunkiem.

- Jestem całkowicie pewna - wyszeptała.

Tym razem nie próbował jej powstrzymać, gdy rozpiniała mu guziki koszuli.

Spodziewała się podświadomie, że on z miejsca przejmie pałeczkę, tymczasem Patrick wyciągnął się na łóżku i pozwolił się rozebrać. Początkowo z wahaniem, a potem z rosnącą śmiałością poznawała jego ciało. Nawet nie wyobrażała sobie podobnej intymności, podobnego stopnia zaufania. Oczy zaszyły jej łzami, kiedy ujrzała straszliwe blizny na jego nodze. Przesunęła po nich palcami, a potem policzkiem, starając się swoim dotykiem zatrzeć wszelkie wspomnienie bólu, jaki musiały mu sprawić te rany.

- Ach, to twoje czułe serce... - rzekł tak, jakby troszeczkę naigrywał się z niej, lecz wyczułone ucho Jo usłyszało w jego głosie echo dawnego cierpienia. - Nie użalaj się nade mną.

- Wyciągnął rękę, dotknął miękkich kasztanowych włosów.

- Jesteś taka piękna...

I w tym momencie naprawdę czuła się piękna.

Znowu zaczęli się całować, na początku niemal żartobliwie, jakby igrali ze sobą, lecz wkrótce spoważnieli, ich twarze stały się napięte, ruchy gwałtowne. Jo mimo braku doświadczenia odgadywała, że on odczuwał równie

silne pożądanie, gdyż przestał brać poprawkę na to, że mogła być zbyt młoda lub niedoświadczona. Wyraźnie przestał o tym myśleć. Kochał się z nią, jakby niczego innego nie pragnął przez całe życie,

Nastąpił tylko jeden krótki moment wahania, gdy Jo odruchowo próbowała się cofnąć - nawet nie z bólu, po prostu to nowe doznanie całkowicie ją zaskoczyło. Patrick chciał się odsunąć, lecz przytrzymała go z całej siły, nie myśląc o niczym, płonąc.

- Kocham cię - powiedziała.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Powtórzyła to jeszcze kilkakrotnie tej krótkiej, gorącej nocy, a za każdym razem Patrick odpowiadał coraz bardziej namiętnymi pieszczotami, zabierając ją w rejony, o jakich nawet jej się nie śniło, lecz ani razu nie wyznał jej tego samego.

Obudziła się wcześnie rano i westchnęła z błogością, najzupełniej spokojna i szczęśliwa. Obróciła głowę w bok. Patrick spał, obejmując Jo ramieniem, z twarzą zwróconą ku niej i tak samo jak ona wyglądał na spokojnego i szczęśliwego, do tego sprawiał wrażenie, jakby ktoś zdjął mu z ramion ogromny ciężar. Uśmiechał się przez sen. Zdumiona i zachwycona Jo delikatnie dotknęła palcem kącika jego ust.

Mruknął, otworzył jedno oko, złociste spojrzenie padło prosto na Jo, a uśmiech się pogłębił.

- Dzień dobry - powiedział cicho Patrick.

Jo odetchnęła z ulgą i dopiero w tym momencie uświadomiła sobie, że nie była pewna, jak on rano zareaguje na jej obecność u swego boku.

- Dzień dobry. - Pocałowała go, po czym spytała z przekornym uśmiechem: - Dobrze spałeś?

Czule potargał jej włosy.

- Dobrze, chociaż krótko. A ty?
- To była najlepsza noc w moim życiu. Zaśmiał się.
- Pierwsza z wielu.

Wstał i poszedł do łazienki, a Jo wyciągnęła się wygodnie na poduszkach i słuchała szumu nowo zainstalowanego prysznica. Niedługo potem Patrick wrócił z ręcznikiem niedbale owiniętym wokół bioder.

- Łazienka wolna, możesz iść. Ja zrobię kawę.

Kiedy Jo wyszła z łazienki, Patrick stał przy kuchence, przeglądając „Bajkę o mruczącym tygrysie”. Podniósł wzrok na Jo.

- Wiesz co? Gdyby to było porządne uwiedzenie, mielibyśmy na śniadanie szampana i chrupiące rogaliki.

Podeszła i położyła głowę na jego nagim ciepłym ramieniu.

- Wybacz. Nigdy wcześniej nikogo nie uwodziłam. Objął ją.
- Ale ja tak, więc powinienem był lepiej się postarać. Obiecuję, że następnym razem się poprawię. - Zajrzał jej głęboko w oczy. - Nie żałujesz?

Potrząsnęła głową.

- Nie.

- I oby tak już zostało... Spojrzała na niego z niepokojem.

- Mówisz tak, jakbyś nie był pewien, czy naprawdę tak będzie. Patrick?

- Bo nie jestem. - Ujrzawszy, że sprawił jej tym przykrość, wyjaśnił szybko: - Żyję w specyficznym świecie, kompletnie nieprzyjaznym. Ludzie, którzy mnie znają, nie zostawią nas w spokoju i będą próbowali wtargnąć w nasze życie.

Ale to nie jego świat miał zburzyć ich spokój.

Parę godzin później Jo jak zwykle jadła śniadanie w kuchni z Morrisonami, gdyż uprosiła Patricka, by na razie jeszcze nie zdradzali się przed nikim. Zadzwoił telefon. George odebrał, potem podał jej słuchawkę.

- Do ciebie.

Zdziwiła się, lecz pomyślała, że to może Patrick z żądaniem, by przyszła natychmiast do niego, bo nie wytrzyma bez niej dłużej.

- Jo, oni tu są! - rozległ się histeryczny szept Marka. - Chcą mnie zabrać z powrotem.

Był prawie nieprzytomny z przerażenia, lecz Jo jakoś zdołała uspokoić go na tyle, by wydobyć z niego fakty. Otóż Jacques, po tamtym jednym spotkaniu z Carol święcie przekonany, że ma do czynienia z dobrą, troskliwą osobą, zadzwonił do Greyów.

- Siedzą tutaj. Carol mówi, że mnie zabiorą, bo mają prawo, grozi wezwaniem policji, Jacques mówi, że prawnie są moimi opiekunami, Brian nie mówi nic, ale jest trzeźwy, więc Jacques myśli, że on jednak jest w porządku. Anne Marie poradziła mi po cichu, żebym zadzwonił po ciebie.

- Zaraz do was jadę.

Odłożyła słuchawkę, straszliwie blada i odwróciła się do George'a.

- Gdzie jest Patrick?

- Udał się do Lacombe.

- Och! Czyli wziął mercedesa.

Co ona teraz miała począć?

- Nie, postanowił się przejść w ramach ćwiczeń.

- W takim razie ja go wezmę. Muszę jechać.

Nadaremnie Morrisonowie próbowali odwieść ją od tego pomysłu, nadaremnie prosili, by najpierw chociaż zadzwoniła do Patricka na komórkę. Straszliwie zdenerwowana Jo nie chciała słuchać, powtarzała tylko pobielającymi wargami, że to wszystko jej wina, że powinna była się domyślić, że nie dopilnowała... Zdołali tylko wcisnąć jej na drogę torbę ze świeżo upieczonymi bułeczkami i dwie butelki wody. Ledwie mercedes znikł im z oczu, zadzwonili do Patricka.

- Jo wyjechała. Jakiś Mark ją wezwał - zaraportował George.

Patrick zaczął kląć z furją, a wtedy gospodyni wyjęła mężowi słuchawkę z ręki.

- Nie słuchaj George'a, wygaduje głupoty. Stało się coś złego. Ta biedaczka prawie odchodziła od zmysłów.

- Mogła do mnie zadzwonić!

- Nie widziałeś, w jakim była stanie. Mówię ci, coś się stało, pojechała komuś pomóc.

- Zabiję drania!

Niania Morrison doskonale wiedziała, jakie uwagi najmądrzej jest ignorować.

- Ona będzie cię potrzebować, musisz za nią jechać. Tylko że wzięła mercedesa.

- Poradzę sobie. Sprawdźcie, spod jakiego numeru do niej dzwoniło, zadzwońcie tam, nie wspominając ani słowem o Jo, ale pod jakimś pretekstem wyciągnijcie od tego kogoś adres.

Dojazd zajął Jo dłużej, niż myślała, gdyż była tak roztrzęsiona, że parokrotnie pomyliła drogę. Za każdym razem z frustracją bębniła pięściami po kierownicy i dopiero w którymś momencie dotarło do niej, że cały czas płacze.

- Musisz wziąć się w garść - przykazała sobie surowo. - Jak będziesz histeryzować, to ani nie trafisz na miejsce, ani nie przekonasz Jacques'a, że Greyowie to skończeni dranie.

Napiła się wody, zjadła bułeczkę i zrobiło jej się trochę lepiej. Kiedy wreszcie zahamowała gwałtownie przed małym gospodarstwem Sauveterre'ów, nie dostrzegła żywej duszy. Przed bramą stał wynajęty samochód, zaś w domu Jo ze zgrozą odnalazła ślady przemocy. Jedno krzesło leżało na podłodze, ktoś rzucił o ścianę sportową torbę, a cała jej zawartość rozsypała się dookoła.

- O Boże, to pewnie Brian!

Przerażona Jo wybiegła na tyły domu, ale nie zobaczyła nikogo. Nawet kozy znikły, chociaż to pewnie o niczym nie świadczyło. Naraz na drodze pojawiła się Anne Marie, a Jo rzuciła się ku niej.

- Co się stało? Gdzie wszyscy? Co z Markiem?

- Czekaj, muszę się napić. I usiąść gdzieś w cieniu. Do zmartwień Jo dołączyło następne.

- Nic ci nie jest?

- Nie, mam tylko założony jeden szew, nic groźnego. Ale muszę usiąść i odpocząć.

Niedługo później opowiedziała dokładnie, co się wydarzyło. Greyowie przyjechali z prawnikiem, a gdy Mark powiedział, że nie chce wracać, zagrozili, że mogą wezwać policję i zabrać go siłą.

- Mark wpadł w popłoch, a to do niego zupełnie niepodobne. Jacques próbował załagodzić sytuację i przemówić wszystkim do rozsądku, za to ja poradziłam Markowi, żeby zadzwonił po ciebie. Na szczęście zrobił coś jeszcze.

- Anne Marie otarła czoło chusteczką i nieoczekiwanie się uśmiechnęła. - Dosypał im cukru do benzyny, potem po cichu wypuścił kozy, a gdy Jacques pobiegł je łapać, dał nogę. Kiedy Greyowie się zorientowali, Brian się wściekł, miałam tu z nim drobny kłopot, ale to trwało chwilę, bo musieli jechać za Markiem. Samochód nie chciał zapalić, więc prawnik zawiózł ich do miasta. Mają wrócić z jakimś nakazem, może nawet z policją. Nie wiem, czy Mark nie trafi do poprawczaka za ucieczkę... Rozplakała się, zaś Jo załamała rękę.

- To straszne, jest gorzej, niż myślałam. Co ja mam zrobić?

Okazało się jednak, że nie musiała nic robić. Drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wpadła Carol, która na widok Jo syknęła niczym rozwścieczona kobra.

- A więc to ty za tym stałaś! Ty durna niezgrabo, ty leniu śmierdzący, ty...

- Pani Carol Grey, jak rozumiem? - rozległ się od strony otwartych tylnych drzwi opanowany głos.

Jo aż podskoczyła na krześle i odwróciła się.

- Co ty tu robisz?! Jak długo tu jesteś?

Patrick Burns wyszedł z cienia i bez pośpiechu wkroczył do kuchni, nie patrząc na Jo, tylko na Carol.

- Jo opowiadała mi o pani, ale, proszę sobie wyobrazić, sądziłem, że przesadza - zagaił konwersacyjnym tonem. - Tymczasem widzę, że nie powiedziała mi nawet połowy.

- A pan to niby kto? - warknęła Carol.

- Powiedzmy, że ktoś, kto z racji zawodu zajmuje się pokrzywdzonymi nieletnimi.

Carol zawahała się, jakby rozpoznawała twarz Patricka, lecz szybko ochłonęła.

- Jestem prawnym opiekunem Marka Seldona i...

- Wątpię. - Usiadł za stołem i uśmiechnął się do pani Grey ze złowieszczą słodyczą. - Moim zdaniem zawiera pani nielegalne kontrakty w sprawie opieki nad dziećmi. Matka Jo zapewne nawet nie wie, co stało się z jej córką.

Jo wyprostowała się, zelektryzowana tymi słowami. O czym on mówił?

- Pan zwariował - zawyrokowała Carol, lecz w jej głosie brzmiał strach.

- Kto oddał pani Jo pod opiekę, o ile można to nazwać opieką? Na pewno nie jej matka.

- Dziadkowie. Matka była studentką, sama nie wiedziała, z kim zaszła w ciążę, więc rodzice pomogli jej, pozbywając się niechcianego bękarta.

- Jakoś w to wątpię... Nikt z rodziny nie oddałby pani dziecka, gdyby wiedział, jak jest traktowane. Pani nielegalnym sposobem przejmowała opiekę nad nimi, a potem całymi latami brała za to pieniądze od państwa. Ktoś musi wreszcie zgłosić to władzom i ukrócić ten proceder, a tym kimś będę ja. Będę miał za sobą zeznania Marka i Jo, być może także pani Sauveterre, a do tego kopię badań Jo wykonanych po pobiciu jej przez pani męża.

Carol wydała z siebie jakiś nienawistny odgłos, niemal nieludzki, i skoczyła ku Jo, lecz Patrick był szybszy i Carol nagle pomstowała wściekle, mając rękę wykręconą do tyłu.

- Próba napaści na Jo? To też pomoże przekonać władze - zauważył Patrick.

Kiedy niedługo potem do kuchni weszli Brian i Jacques, Carol pogodziła się już z tym, że nic nie wskóra, nie odzyska Marka i musi myśleć o ratowaniu własnej skóry.

- Zabieramy się stąd - powiedziała do męża. - Ta głupia krowa ma po swojej stronie nadzianego faceta.

Jacques był blady i przerażony, a gdy wyszli, powiedział, że nigdy się nie spodziewał podobnego zachowania po kimś tak miłym jak pani Grey...

- Pozory bywają mylące - uciął Patrick i po raz pierwszy spojrzął na Jo. - Myślimy, że wiemy o kimś wszystko, a tymczasem okazuje się, że znaleźliśmy kogoś tylko od jednej strony. Ufanie ludziom jest obarczone sporym ryzykiem.

To było do mnie, pomyślała Jo. Mówi mi, że mi zaufał, a ja go zawiodłam. I ma rację.

Posprzątali w kuchni, zaczekali na mechanika z firmy wynajmującej samochody i na Marka, który w końcu wrócił. Wszyscy byli zachwyceni Patrickiem i wszyscy też gratulowali Markowi przemyślności. Wśród ogólnego rozgardiaszu jedna Jo pozostawała milcząca i pogrążona w ponurych rozważaniach. Przeżyła najpiękniejszą noc w życiu, a potem przez głupotę i impulsywność zniszczyła rozkwitający związek.

- No, pora na nas - oznajmił wreszcie Patrick, wstając zza stołu.

Podniosła się również.

- Mam cię odwieźć mercedesem? - spytała niepewnie.

- Czy ty w ogóle nie słuchałaś, co mówiłem? Po mercedesa przyślę kogoś jutro, dziś wracamy bugatti.

- Chcesz... chcesz zabrać mnie ze sobą?

- Oczywiście.

- Ale... ale przecież nie dość ci zaufałam.

Zajrzał jej głęboko w oczy, jakby zaglądał jej w samą duszę.

- Ale ja zaufałem tobie. A teraz wracajmy do domu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jo podążyła za nim jak we śnie. Uściskała Anne Marie i Marka, lecz nie pożegnała się z Sauveterre'em, nawet na niego nie spojrzała.

- Przykro mi, że nie powiedziałam ci o Marku - rzekła, gdy już ruszyli.

- Mnie również przykro.

Zgarbiła się. A więc Patrick jej nie wybaczył.

- Wiem, że powinnam była, ale nie miałam pewności...

- ...czy dochowam twojego sekretu? - dokończył za nią. - Nie miałaś do mnie zaufania, Jo.

- Za to miałam bezgraniczne zaufanie do Jacques a Sauveterre'a i zobacz, do czego to doprowadziło.

- Ale ja nie jestem nim - wycedził przez zaciśnięte zęby, wyraźnie zły.

- Wiem, gdzie mu do ciebie... Przepraszam, powinnam była ci wszystko opowiedzieć.

- Pewnie, że powinnas była. Zaoszczędziłoby mi to bezsennych nocy, gdybym wiedział, że ten Mark, o którego tak się troszczysz, to nie twój chłopak, tylko przybrany brat.

- Byłeś zazdrosny? - ucieszyła się.

- Martwiłem się, że jesteś emocjonalną masochistką, która skacze wokół faceta, chociaż ją rzucił.

Nie uwierzyła mu.

- Byłeś zazdrosny - powtórzyła z satysfakcją.

- Dobra, przyznaję, byłem. Pierwszy raz w życiu. I wcale to nie było przyjemne, więc nie życzę sobie powtórki. Od tej pory jesteś moja, jasne?

Już miała coś odpowiedzieć z oburzeniem, gdy napotkała jego wzrok, tak pełen czułości, że nie wierzyła własnym oczom.

- Mówisz poważnie? - spytała cichutko.

- Jak najpoważniej. - Uśmiechnął się. - Dokąd moja pani życzy sobie jechać? Do Paryża? Do Wenecji? Zabiorę cię nawet na Księżyc, jeśli tylko zechcesz.

Zupełnie go nie poznawała.

- Chcę tam, gdzie ty.

- Czyli to ja mam wybrać? Wspaniale. Pojedziemy w moje ulubione miejsce.

Prowadził pewnie, jadąc bocznymi drogami i nie gubiąc się w ich gąszczu, jak kilka godzin wcześniej gubiła się Jo.

- Powiedz, co miałeś na myśli, gdy mówiłeś Carol o mojej matce?

Patrick zjechał na pobocze i zgasił silnik.

- Wybacz, powinienem był najpierw powiedzieć tobie, ale tak naprawdę nie miałem pewności, tylko podejrzenia, dopiero Carol je potwierdziła.

- Grzebałeś w mojej przeszłości? Szukałeś moich rodziców? -

Rozgniewała się. - Powiedziałam przecież, że nie życzę sobie...

- Jo, nigdy nie zrobiłbym nic podobnego.

- Ale coś jednak zrobiłeś. Szpiegowałeś mnie!

- Przeglądałem dziś rano tę „Bajkę o mruczącym tygrysie”. To nie jest zwykła książka. Przeszukałem Internet. Ona nie była nigdy normalnie wydana, istnieje tylko w tym jednym egzemplarzu. Została napisana specjalnie dla ciebie, wydrukowana za prywatne pieniądze i odręcznie zilustrowana. Nie robi się takich rzeczy dla niechcianego dziecka. Czy nadal nie zamierzasz odnaleźć swojej matki?

- Zastanowię cię - rzekła zmienionym głosem. - Czy możemy jechać dalej?

Gdy nadal przypatrywał jej się z troską, wykonała niecierpliwy gest, więc ruszył.

- Jo, to naprawdę nie było szpiegowanie - odezwał się trochę później, przerywając ciszę.

Odpowiedziało mu milczenie.

- Proszę, odezwij się do mnie. Powiedz, w czym naprawdę tkwi problem. Jestem dla ciebie za stary?

Usłyszał wzgardliwe prychnięcie.

- Czyli nie w tym rzecz - stwierdził pogodniejszym tonem. - Czy chodzi o to, że jestem twoim pracodawcą? Chyba nie myślałaś, że cię zwolnię, jeśli ty nie... Czy dziś w nocy czułaś się... wykorzystana?

- Nie, nie czułam! - wybuchnęła gniewnie. - Patricku Burns, masz mnie za jakąś ofiarę, czy co? Sprawiałam wrażenie nieszczęsnej i wykorzystywanej?

Kąciki jego ust się uniosły.

- Raczej nie. Ale kiedy uciekłaś dziś rano, naszyły mnie wątpliwości.

- Nie uciekłam, tylko chciałam ochronić kogoś mi bliskiego.

- Rozumiem, lecz myślałem, że po ostatniej nocy ja też jestem ci bliski.

Tymczasem ty w trudnej sytuacji nie wezwałaś mnie na pomoc.

- Ale na szczęście pomogłeś. - Uśmiechnęła się z satysfakcją, przypominając sobie minę Carol, gdy ta zrozumiała, że została pokonana.

- Na szczęście? Czyli tego nie nazwiesz szpiegowaniem cię? Hmm...

- Nie.

- No, przynajmniej tyle... Tak więc nie chcę drugi raz dowiadywać się o twoich sprawach od Morrisonów. Od tej pory gramy w jednej drużynie. Twoje sprawy i problemy są moimi i na odwrót.

Droga zaczęła się dziwnie rozmazywać przed oczami Jo, która głośno pociągnęła nosem, a potem wytarła go grzbietem dłoni. Samochód zwolnił i Patrick wcisnął jej do ręki świeżą chusteczkę.

- Jesteś miłością mojego życia.

- Przepraszam, że sprawiam tyle problemów! - Jo ocierała oczy. -

Wszystko przez to, że tak długo byłam sama i musiałam liczyć tylko na siebie, i byłam teraz odpowiedzialna za Marka. W końcu to ja wyrwałam go z domu i przywiozłam do Fra... Co powiedziałeś?

Bugatti zatrzymało się na skraju drogi, Patrick zaciągnął ręczny hamulec, zgasił silnik i dopiero wtedy odwrócił się ku Jo, kładąc ramię na oparciu jej fotela.

- Że jesteś miłością mojego życia - powtórzył posłusznie. - Wszyscy już to odkryli. Morrisonowie, Simon, nawet mój lekarz.

- Miło... twoje... ale przecież... ale mówiłeś...

Ujął jej dłonie.

- Jo, najdroższa, posłuchaj. Mówiłem wiele niemądrych rzeczy. I w ogóle nie jestem miłym facetem. Ja nigdy nie zrobiłbym dla Crispina tyle, ile ty dla Marka. - Przytulił ją do siebie. - Przez lata byłem arogancki, zimny, nie liczyłem się z niczymi uczuciami. Kiedy mnie postrzelono, nagle stałem się bezradny. Nie mogłem działać, byłem bez pracy, nie mogłem zaadoptować Pavliego. Wydawało mi się, że moje życie nie ma sensu, czułem się stary i znużony. I nagle wtedy nad rzeką spotkałem ciebie. Byłaś taka szczęśliwa... Na widok zimorodka przeżyłaś zachwyt, a ja zapragnąłem znów patrzeć na świat tak świeżo jak ty. I zapragnąłem ciebie.

Zawiesił głos i spojrzał na nią. Zarumieniała się, lecz nie spuściła wzroku.

- Musiałaś o tym wiedzieć.

- Niekoniecznie... Nie byłam zbyt doświadczona w tych sprawach.

- To czemu uciekłaś?

- Niedoświadczona nie znaczy głupia. Wiedziałam, że coś się dzieje, ale jest poza moim zasięgiem. Nie moja liga, powiedziałam ci kiedyś. Ucieczka była najrozsądniejszym wyjściem, bo tacy ludzie jak ja nie powinni bawić się w takie rzeczy.

- Tacy jak ty? Czyli jacy?

- Tacy, którzy nie mają gdzie szukać pomocy, gdy coś się nie układa. Skrzywił się boleśnie.

- Tego się właśnie obawiałem. To dlatego nie chciałem zdradzić się ze swoimi uczuciami, bo gdybyś nie czuła tego samego, mógłbym cię wystraszyć.

- Ale czułam. I dalej czuję.

- Czemu więc nie wezwałeś mnie dziś rano na pomoc? - spytał, jakby nie mógł przeboleć tego braku zaufania z jej strony.

- Skąd mogłam mieć pewność, czy to będzie dla ciebie ważne? Gdybyś choć raz powiedział, że mnie kochasz...

- Słucham? - spytał lodowato. Dumnie uniosła brodę.

- Nie próbuj niczego na mnie zwać! Spędziliśmy razem noc, a ty ani razu nie wyznałeś mi uczucia. A ja ci wyznałam!

- Ale przecież pokazałem... Och, kochanie, masz rację - przyznał ze skruchą. - Co za idiota ze mnie! Rzeczywiście powinienem był powiedzieć.

- Właśnie - skwitowała. - Kobieta potrzebuje jasnego i zrozumiałego przekazu.

Patrick uśmiechnął się, nagle czując, jak rozpiera go poczucie szczęścia.

- W takim razie już się poprawiam. Kocham cię, nie chcę dłużej żyć bez ciebie, a jeśli ty mnie nie zechcesz, nie poślubię żadnej innej. Nie zasługuję na ciebie, ale jeśli jednak wyjdiesz za mnie, przez resztę życia będę dokładał starań, żeby troszczyć się o ciebie i nie płoszyć zimorodków. Co ty na to?

- Ten przekaz był jasny i zrozumiały - odparła cicho. - Bardzo chętnie wyjdę za ciebie.

Nachyliła się ze śmiechem i pocałowała Patricka, który przygarnął ją do siebie jak bezcenny skarb. Całowali się jeszcze długo, długo, aż wreszcie Patrick nieco drżącymi dłońmi odgarnął jej włosy z oczu, a potem usiadł prosto i uruchomił silnik.

- To dokąd jedziemy? - spytała.

- Mówiłem ci. W moje ulubione miejsce, gdzie może znowu zobaczymy zimorodka. I może znowu będziesz miała ochotę popływać. Tym razem przyłączę się do ciebie.

I rzeczywiście pływali. Chociaż nie od razu.

EPILOG

Rok później na zamku odbyła się ceremonia.

Przywrócone do stanu dawnej świetności ogrody zostały udostępnione zwiedzającym, zaś cały dochód z biletów przeznaczono na pomoc dla położonej w odległych górach wioski uchodźców. Za dodatkową opłatą można było odbyć przejażdżkę pięknym zabytkowym bugatti po całej malowniczej posiadłości - prowadziła sama pani Burns.

W tłumie gości znajdował się jej brat, który właśnie odkrył w sobie zamiłowanie do samochodów i przewidywał dla siebie karierę słynnego rajdowca, oraz wysoka dama o kasztanowych włosach, nie spuszczająca rozpromienionego wzroku ze swojej szczęśliwej córki.

O zachodzie słońca Patrick Burns wszedł na podium i włączył mikrofon. Przywitał wszystkich zebranych, potem opowiedział o wiosce uchodźców i pomocy dla potrzebujących, a na koniec przemówienia wskazał na wznoszące się za jego plecami bajkowe wieże.

- Kiedy moja żona po raz pierwszy zobaczyła ten zamek, wyglądał inaczej niż teraz. Dużo przeszedł, dużo widział, był stary i sypał się. Zupełnie jak ja.

W tłumie rozległy się śmiechy i oklaski.

- Dobry jest - mruknał pod nosem Tim z telewizyjnej stacji Mercury News International.

- Ale ona pokochała go od pierwszego wejrzenia, ujrzała ukryte w nim piękno i powiedziała, że brakuje tu tylko powiewających chorągwi. Tak więc...

Rozległy się fanfary, u szczytu najwyższej z wież rozwinięto chorągiew, która załopotała na wietrze. Patrick wskazał ją i poszukał wzrokiem żony, a wszyscy mogli zobaczyć, z jaką miłością i zaufaniem na siebie patrzyli.

- Oto są barwy pani mego serca.



RS